MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VII. Nr 11 WARSZAWA, 15 MAJA 1927 R. CENA NUMERU 1 zł.

PAŃSTWO I RZĄD

PIERWSZYM warunkiem prawidłowego myślenia politycznego jest ścisłe odróżnianie pojęć. Trzeba wiedzieć, jaka zachodzi różnica między terminami prawnemi, któremi się posługujemy w życiu politycznem, a w każdym razie unikać bałamuctw w rzeczach najważniejszych. A tymczasem te bałamuctwa zjawiają się na każdym kroku. Nie zawsze może pochodzą one z nieświadomości, czasami nawet są celowem nadużyciem. Tak n. p. obrońcy rządu mają jeden argument, którym szermują na prawo i na lewo: kto występuje przeciw rządowi, ten prowadzi akcję antypaństwową. Identyfikuje się rząd z państwem, politykę rządową z działaniem państwowych instytucyj. Taki argument brzmi bardzo patrjotycznie i patetycznie, niestety nie odpowiada on rzeczywistości.

Funkcje każdego rządu są dwojakiej natury. Przedewszystkiem jest on strażnikiem prawa, wykonawcą ustaw, czuwa nad prawidłowem działaniem instytucyj państwowych. W tym charakterze władza ściąga podatki, pobiera rekruta, sądzi przestępców, wykonywa umowy międzynarodowe. Kto temu prawu jest nieposłuszny, ten jest przestępcą, ten działa przeciw państwu. Prócz tego rząd jest wyobrazicielem pewnej polityki, dobrej lub złej; stara się tak lub inaczej ułożyć stosunki wewnętrzne i zewnętrzne państwa, przeprowadzić te lub inne zmiany w ustawodawstwie i administracji. Konstytucja państwa powołuje wprost pewne organy do kontroli nad rządem, oddziela władzę ustawodawczą od wykonawczej, daje obywatelom możność skarżenia rządu przed Trybunałami sądowemi, gwarantuje im swobodę przekonań i możność organizowania się politycznego nawet dla zwalczania rządu.

Z temi zasadami i instytucjami politycznemi zrośliśmy się oddawna. A tymczasem obecnie słyszymy na nowo przestarzałą już zasadę: „Państwo to ja! Kto zwalcza rząd, ten zwalcza państwo, a to, co robi rząd, robi dla państwa i w imię państwa". Nie trzeba wyjaśniać, że nie wszystko, co robi rząd ten lub inny, wychodzi na dobro państwa i nieraz ten, kto zwalcza błędne i fałszywe kroki polityczne rządu, lepiej służy państwu, niż zapamiętały chwalca polityki rządowej.

Przed niedawnym czasem jeden z przedstawicieli „Prawicy Narodowej" oświadczył, że jego stronnictwo nie uprawia polityki opozycyjnej, a zajmuje życzliwe stanowisko w stosunku do rządu, gdyż stoi na gruncie państwowym. W tem rozumowaniu jest gruby błąd logiczny. Na stanowisku państwowem stoi ten, kto nie zmierza do wywołania przewrotu społecznego, kto szanuje obowiązujące ustawy i broni zasady praworządności. Jeżeli jednak uważa się, że rząd prowadzi państwo na złe tory, to właśnie z punktu widzenia państwowego spada na obywateli obowiązek zwalczania rządu, oczywiście w sposób, zgodny z obowiązującem prawem. Jeżeli ktoś zaś nie zwalcza rzadu, to dlatego, że jego politykę uważa za dobrą, że się z nią solidaryzuje; albo też jest zdania, że walka z rządem nie ma dla niego żadnych widoków powodzenia, że nie potrafi być w opozycji. Niema tu potrzeby odmieniać przymiotnika „państwowy" we wszystkich przypadkach.

Podstawą życia państwowego jest poszanowanie prawa. Może się zdarzyć, że rząd postępuje niezgodnie z prawem, że wydaje okólniki lub rozporządzenia, sprzeczne z konstytucją lub obowiązującemi ustawami. Jaki państwowy obowiązek spada wtedy na obywateli? Bronić prawa przed nadużyciami i samowolą. Jest to elementarnym obowiązkiem obywatela. Ów wieśniak, ktory Fryderykowi II za jego krok samowolny zagroził:

„są jeszcze sędziowie w Berlinie“—miał więcej poczucia państwowego od wielu polityków i publicystów, którzy w drażliwych sprawach, jak n-p. w sprawie więzionych jenerałów, zdobywają się na wielki krok państwowy: milczą. Gdy milczy organ „sanacyjny“, to nic w tem dziwnego, bo wie dobrze, że milczenie jest złotem, ale trudniej to sobie wyjaśnić wtedy, gdy wchodzi w rachubę pismo, które chce być organem niezależnej opinji publicznej.

W epoce absolutyzmu istniały w poszczególnych krajach austrjackich tak zw. sejmy postulatowe; członkowie ich mieli tylko prawo wnoszenia najuniżeńszych petycyj do cesarza. Gdyby poza nie wykroczyli, byliby uznani za czynnik antypaństwowy. Trudno oczekiwać, że na tych wzorach oprze się nowy ustrój Polski, w każdym razie jednak niektóre sfery już do takiego ustroju przystosowały swoją psychologję polityczną.

Ta bierność wobec ważnych wydarzeń, to chowanie głowy w piasek pod tym lub innym pozorem, jest przedewszystkiem wynikiem tego, że starsze pokolenie wyrosło w dobie niewoli. Pominąwszy tych, którzy w tamtym czasie uprawiali rewolucję a dzisiaj, jak zwykle rewolucjoniści, którzy doszli do władzy, zapominają o zasadach, o które walczyli, cały szereg ludzi wychował się w świadomości, że władza tkwi poza nami, że nie ponosimy za nią odpowiedzialności i nie mamy na nią istotnego wpływu. Jedni wierzyli w to, że można coś dla Polski zrobić przez wpływy na dworze; inni wierzyli w postęp, w rewolucję; zawsze jednak występowali w stosunku do rządów w roli petentów, bo zresztą w przeważnej części Polski nie można było wywierać bezpośredniego wpływu na rząd. Ślady tych tradycyj są jeszcze i dzisiaj bardzo widoczne. Bardzo wielu ludzi traktuje rząd jako coś zewnętrznego, jako coś, co istnieje niejako poza nimi. Chodzi im o to, by jak najwięcej od rządu uzyskać, ale nie zawsze umieją ułożyć wyraźnie swój stosunek do całości polityki rządowej.

W społeczeństwach, żyjących od wielu lat normalnem życiem politycznem, stosunek stronnictw do rządu jest zupełnie skrystalizowany. Istnieją stronnictwa rządowe, istnieje też opozycja. U nas jeszcze widocznie jest trochę miejsca na amfibje: na żywioły, które w stosunku do rządu zajmują „życzliwe stanowisko“, „rzeczową neutralność“, które nie chcą rządu ani jawnie popierać, ani jawnie go zwalczać. By zaś znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla tego stanowiska, wprowadza się zamęt w pojęciach politycznych, utrzymując, że tego właśnie wymagają względy państwowe. Podobnie też w społeczeństwach bardziej dojrzałych odróżnia się nieźle funkcje państwowe rządu, jego działalność administracyjną w szerokiem tego słowa znaczeniu, od jego roli i działalności politycznej. Tam rząd nie ma zwyczaju popełniania nadużyć terminologicznych, i nie waży się na to, by swoich przeciwników, którzy krytykują lub zwalczają jego politykę, ogłaszać za żywioł antypaństwowy.

Bo jest to istotnie nadużyciem, jeżeli opozycję, która woła o praworządność, o skuteczniejsze tępienie komunizmu, która budzi w społeczeństwie świadomość, że i ono jest powołane do tego, by współdziałać w walce z anarchją, ogłasza się za ludzi, którzy podkopują państwo. Zdrowy naród poczuwa się do odpowiedzialności za losy państwa. Zdrowy naród broni prawa, choćby nawet nie umieli i nie chcieli bronić go ci, którzy do tego przedewszystkiem są powołani. Zdrowy naród szanuje państwowe instytucje, stara się je budować i rozwijać, nie może jednak być obojętnym wtedy, gdy te państwowe instytucje są podkopywane. Walka polityczna, jeżeli odbywa się w formach legalnych, jeżeli nie wywołuje zbyt głębokich wstrząśnień społecznych, nie jest niebezpieczeństwem dla państwa, a poniekąd jest koniecznością. Najgorszą rzeczą jest apatja i obojętność, jest piłatowe umywanie rąk wobec tego, co się dzieje w państwie. Żywioły, które takie postępowanie uważają za wykwit rozumu stanu, nie odegrają twórczej roli w życiu narodu. *Qui tacet consentire videtur.* Zasada ta obowiązuje także i w polityce. A nie można wykręcić się frazesem, że wymykania się od zajęcia wyraźnego stanowiska wymaga interes państwowy.

ROMAN RYBARSKI

CARTA DEL LAVORO

UCHWALONA 21 kwietnia r. b. przez Wielką Radę faszystowską *Magna Charta* Pracy, stanowi poważny krok naprzód w kierunku wprowadzenia w życie ogłoszonej przed rokiem ustawy syndykalistycznej włoskiej. Ustawa ta zasługuie na uwagę nie tylko z punktu widzenia włoskiego. Przedstawia bowiem pierwszą próbę zasadniczego rozwiązania kwestji robotniczej oraz stałego uregulowania wzajemnego stosunku pomiedzy kapitałem a pracą. Znaczenie polityczne tej reformy zrozumiemy, gdy zważymy, iż istnieje projekt oparcia na syndykatach reprezentacji parlamentarnej.

Syndykalizm faszystowski — powiedział Mussolini przy omawianiu ustawy w parlamencie — różni się od syndykalizmu czerwonego w tym punkcie zasadniczym, że nie dąży do zniesienia prawa własności. Dąży on do współdziałania kapitału i pracy w procesie produkcyjnym, w celu spotęgowania samej produkcji.

Faszyzm—powiedział w parlamencie minister sprawiedliwości Rocco, główny twórca ustawy syndykalistycznej—ma tę zasługę historyczną, że restytuował równowagę pomiędzy warstwami społecznemi, że zajął stanowisko moderatora i arbitra pomiędzy klasami. Uczynił to w celu przeszkodzenia, aby jedna klasa zapanowała nad drugą i aby z tej walki wynikła niemoc państwa i nędza obywateli.

Ten sam punkt widzenia zaznaczony jest na początku obecnej Karty Pracy. Artykuł II-gi Karty głosi: „Praca w każdej postaci, intelektualnej, technicznej

i ręcznej, stanowi obowiązek społeczny. Z tego i tylko z tego tytułu jest chroniona przez państwo. Całokształt produkcji stanowi jedność z punktu widzenia narodowego. Cel jej jest jednolity i zmierza do dobrobytu produkujących oraz rozwoju potęgi narodowej".

Jakkolwiek sama ustawa syndykalistyczna z 3 kwietnia 1926 roku ujęta jest w formę zwięzłą i prostą, to jednak szereg późniejszych dekretów, rozporządzeń i okólników administracyjnych, jak również sama różnorodność i komplikacja sytuacyj społeczno-gospodarczych wywołały tyle kwestyj wątpliwych, że dokładne zorjentowanie się w tem wszystkiem stało się nawet dla Włochów dość trudne. Pewne ułatwienie w tej mierze stanowi wydana przed kilku tygodniami książka Carlo Costamngna, jednego z najbliższych współpracowników ministra Rocco, pod tytułem: „*Diritto corporativo italiano*", z przedmową ministra Rocco. Książka ta daje bardzo dokładny obraz nowego prawa syndykalistycznego włoskiego i obszerną analizę wszystkich kwestyj wątpliwych i spornych.

Możnaby powiedzieć, że prawo syndykalistyczne opiera się na czterech zasadach przewodnich: 1) zasada jedności syndykatu, 2) zasada umów zbiorowych, 3) ustanowienie trybunałów pracy z orzecznictwem obowiązującem, 4) zakaz strajków i lokautów, które uznano za przestępstwa.

Zasada jedności syndykatu oznacza, że w danym zawodzie i danem miejscu może być tylko jeden syndykat pracobiorców i jeden syndykat pracodawców i że syndykat ten reprezentuje ogół robotników lub przedsiębiorców danej kategorji. Rzecz jasna, że w praktyce rząd będzie zatwierdzał czyli nadawał znaczenie prawne przedewszystkiem syndykatom faszystowskim.

Syndykaty lokalne mogą łączyć się w federacje, te ostatnie w konfederacje. Obecny regulamin przewiduje 6 konfederacyj narodowych pracodawców i 6 konfederacyj narodowych robotników, według głównych gałęzi produkcji: przemysł, rolnictwo, handel, transport morski i powietrzny, transport lądowy, banki. Poza tem przewidziana jest 13-ta konfederacja zawodowa: wolnych zawodów i artystów. Kontrolę nad syndykatami sprawuje Minister Korporacyj. Urzędnicy państwowi i samorządowi nie mogą tworzyć syndykatów, chyba za specjalnem upoważnieniem rządu.

Ogłoszona obecnie Karta Pracy zawiera szereg zasad i przepisów, dotyczących umowy zbiorowej, płacy, ochrony i ubezpieczenia pracy.

Według terminologji obecnie przyjętej, należy odróżniać „syndykaty" i „korporacje". Syndykaty są zrzeszeniami ludzi tego samego zawodu, mają zdolność prawną i pewną władzę dyscyplinarną. Ustawa syndykalistyczna mówi tylko o syndykatach. Korporacje natomiast reprezentują pewną gałąź produkcji w danem miejscu i składają się z reprezentantów przedsiębiorców, robotników i urzędników (prywatnych), pod przewodnictwem osoby, mianowanej przez Ministra korporacyj. Korporacje nie mają osobowości prawnej i są tylko organem administracyjnym państwa. Są one przewidziane jedynie w rozporządzeniach wykonawczych, jako organ pomocniczy administracji państwowej. Ogłoszona obecnie Karta Pracy nadaje korporacjom charakter organu pośredniczego w zatargach, przed zwróceniem się do trybunału pracy.

Główny organizator syndykatów i korporacyj faszystowskich, Rossoni, w swym odczycie, wygłoszonym niedawno w Uniwersytecie Rzymskim, powiedział, że syndykalizm faszystowski został przyjęty z większem uznaniem przez robotników, aniżeli przez przedsiębiorców. Robotnicy bowiem czują, że oznacza on stabilizację ich sytuacji społeczno-gospodarczej, dając im obronę syndykatu i ochronę sądową. Faszyzm jednak nie zatrzyma się w tym punkcie, tylko pójdzie dalej w kierunku poprawy doli robotniczej. Będzie on dążył do znalezienia formy prawnej, któraby, nie hamując produkcji, zapewniła robotnikowi udział w zyskach przedsiębiorstwa i związała go w ten sposób z warsztatem pracy.

Podczas ostatniego pobytu we Włoszech odniosłem wrażenie, że najaktualniejszym, a jednocześnie najtrudniejszym problematem włoskiego faszyzmu jest ustosunkowanie syndykalizmu do reprezentacji parlamentarnej.

Przed kilku miesiącami istniał w kierowniczych kołach faszystowskich projekt oparcia na syndykatach izby wyższej czyli Senatu. Wystąpił jednak przeciw temu odłam dawniejszych nacjonalistów (Corradini, Federzoni, Coppola etc.), który popiera utrzymanie składu Senatu w formie obecnej, powołując się na tradycję państwa włoskiego, na poziom obecnego Senatu i na wpływ, jaki zapewnia Rządowi obecny sposób powoływania senatorów (nominacja). I projekt upadł. Obecnie aktualną jest sprawa oparcia na syndykatach izby poselskiej. Tu jednakże wśród samych nacjonalistów nastąpił rozłam. Minister sprawiedliwości Rocco popiera ten projekt, podczas gdy Coppola, redaktor wpływowego miesięcznika faszystowskiego „*Politica*" projekt ten zwalcza. Utrzymuje on, iż byłoby to zwycięstwem ideologji materjalistycznej i wysunięciem w życiu państwowem na pierwszy plan sporów gospodarczych, zamiast zasadniczych zagadnień i zasadniczych wartości moralno-politycznych; ostatnie słowo w tej kwestji będzie należało, jak zwykle, do Mussoliniego, który jednak dotychczas nie wypowiedział się zdecydowanie.

Zagadnienie ordynacji wyborczej do parlamentu jest obecnie we Włoszech, podobnie jak w Polsce, najważniejszym i najtrudniejszym problematem prawnopolitycznym.

ANTONI PERETIATKOWICZ

AMERYKAŃSKIE NIEBEZPIECZEŃSTWO

W POPULARNYCH pisemkach przyrodniczych można było wyczytać w ostatnich czasach wiadomości o nowem „epokowem" ulepszeniu życia, dokonanem w Ameryce. Oto jakiś pomysłowy *yankee* zbudował maszynę do wyrobu cienkościennnych rurek z celuloidu i oświadcza, że odtąd wszelkiego rodzaju kiełbasy, kiełbaski i serdelki mają być robione w takich własnie rurkach, nie zaś, jak dotychczas było, w kiszkach zwierzęcych. Sztuczne owe kiszki mają nieocenione właściwości: można je robić w dowolnych długościach i kalibrach, fabrykacja jest hygieniczna, a produkt, jak zapewnia wynalazca, dobrze strawny a przynajmniej nie przynoszący szkody żołądkowi.

Sok żołądkowy nie zawiera niestety kwasu azotowego, niema więc możliwości, żeby celuloza zamieniła się podczas trawienia na bawełnę strzelniczą i żeby wynalazca, wraz z pierwszymi entuzjastami nowe-

go triumfu techniki uroczyście po spożyciu popękali. Trzeba więc szukać innych środków obronnych przeciwko coraz osobliwszym, coraz hałaśliwiej reklamowawanym amerykańskim ulepszeniom życia...

Europa po wojnie zbiedniała, Ameryka zaś nagromadziła sporo bogactw. Dawniej podziwialiśmy energję i rozmach techniczny Ameryki, dziś ojczyzna dolara imponuje nam jak bogacz ubogim krewnym. A imponuje tem łatwiej, że w Europie po wojnie doszły do większego głosu i znaczenia warstwy ludności surowsze, nie bardzo rozumiejące, na czem kultura polega i nie bardzo wartości kulturalne doceniające. To też o ile przed wojną inwazja amerykańska ograniczała się do zalewania nas n. p. butami, w których wszyscy wyglądaliśmy jednakowo jak na końskich kopytkach, (pod wpływem gustu europejskiego forma wyszlachetniała później, ale warto sobie przypomnieć pierwsze „amerykany“ z krótkiemi podeszwami, wypukłemi, twardemi nosami i niesłychanym owalem stopy: był to standardyzowany but uniwersalny, w który mogło zmieścić się wszystko: od stopy ludzkiej począwszy, a na kopycie młodego słonia skończywszy)— to dziś nasi zamorscy kuzyni, wyzyskując pomyślną konjunkturę, zaczynają zaczynają nas już uczyć sensu życia i nauka ta znajduje tu i owdzie posłuch.

Tupetu amerykanom nie brakło nigdy, a teraz już przybyło go ponad wszelką miarę. Nie rozumiejąc dobrze różnicy, jaka zachodzi między rzeczami dużemi, a wielkiemi, sądzą szczerze, iż zbudowawszy wyższe niż w Europie domy, osiągnęli istotną nad nami wyższość i — prawo dawania nauk. Nie pamiętają o tem, że budowniczowie amerykańscy, nauczywszy się od uczonych europejskich teorji wytrzymałości materjałów i form konstrukcyjnych, mogą bez końca mnożyć liczbę pięter w domach i liczbę tych domów, ale wszyscy razem nie wznieśli jeszcze nic takiego, jak medjolański *Duomo*, katedra św. Guduli w Brukseli, lub katedra Wawelska. Prawdopodobnie kiedyś wzniosą i wtedy pogadamy i przestaniemi pisać o niebezpieczeństwie amerykańskiem, tymczasem jednak pisać o niem należy, gdyż istnieje: prądy z za oceanu, wartkie lecz płytkie, mogą obniżyć poziom naszej cywilizacji i kultury, o ile w umysłach naszych nie postawimy im właściwej tamy.

Oceniając zjawiska życia amerykańskiego nie zapominajmy o jego jaskrawej jednostronności, o tem, że obok bogactwa materjalnego tuła się tam wciąż jeszcze bardzo ubożuchna treść duchowa. W bogatych i tętniących życiem Stanach Zjednoczonych wychodzi rocznie książek tyleż, co w kilkakrotnie mniej ludnej i za obumarłą uważanej Hiszpanji. Pokaźną pozycję zajmują i największe nakłady osiągają poradniki tego rodzaju jak „Sposób zrobienia majątku“, lub „Jak stać się najwydatniejszym sprzedawcą“ i t. d. Widocznie te podręczniki zastępują praktycznym „jankesom“ nasze „Senniki egipskie“; jeżeli jednak tę literaturę wyłączyć z ogólnego rachunku, to porównanie Stanów z niewielkim i stosunkowo ubogim krajem o starej kulturze łacińskiej wypadnie jeszcze bardziej na niekorzyść dorobku umysłowego Nowego Świata. W jednej tylko dziedzinie umysłowej panuje tam ruch naprawdę ożywiony, a to w zakresie nauk ścisłych, lecz i tam dostrzedz można zjawiska swoiste, nakazujące pewną ostrożność w ocenie.

Amerykanie wlot zrozumieli praktyczny pożytek nauk przyrodniczych, łożą na ich pielęgnowanie wielkie sumy i wyniki badań stosują śmiało w rolnictwie, hodowli i t. d. Śmieszne jest tylko, gdy i do ludzi chcą stosować metody zbyt czysto hodowlane, nie umiejąc zdać sobie dobrze sprawy z faktu zasadniczego, że innych rzeczy wymaga się n. p. od wołu, a innych znów od człowieka. Do tej kategorji należy zaliczyć ich rozmaite pomysły eugeniczne, dochodzące do prób wprowadzenia ustawowej, przymusowej sterylizacji osobników ludzkich, o których „komisja“ orzekłaby, że zachodzi obawa wydania przez nich zdegerenowanego potomstwa. A tymczasem historja nic nie mówi o tem, żeby jeden chociażby z wielkich ludzi, z tych co wskazali nowe drogi, był synem gladjatora lub mistrza boksu, a żaden z nich też osobiście pewno nie odniósłby zwycięstwa w pięcio; czy dziesięcioboju atletycznym. Wiadomo natomiast, że np. Beethoven, którego teraz z okazji setnej rocznicy śmierci czcił świat cały, był dziedzicznie bardzo obciążony: babka zmarła na *delirium*, ojciec również był pijakiem nałogowym. Komisja amerykańska i babkę i ojca uznałaby napewno za niegodnych wydania potomstwa, a oto z wnuka i syna tych potępionych wytrysnęło wiecznie żywe źródło rozkoszy i ukojenia.

Miejmy nadzieję, że nasi młodzi bracia zamorscy w przyszłości swe zapędy hodowlane pohamują. Nam one nie grożą, bo wątpliwe jest, czy znalazłyby naśladowców; tymczasem zaś stwierdzić z radością należy, że w dziedzinie nauk matematyczno-przyrodniczych ludzkość zaczyna mieć z amerykanów prawdziwą pociechę.

Groźni są natomiast w swoich pomysłach co do produkcji przemysłowej, organizacji pracy i ogólnego zmechanizowania życia. Groźni dlatego, że mają w Europie poparcie entuzjastów dzisiejszego systemu kapitalistycznego, nie znajdują zaś należytego przeciwdziałania ani u urzędowych niejako znawców zagadnień pracy — socjalistów, którzy w gruncie rzeczy dążą do utrwalenia tego samego systemu produkcji, z tą tylko różnicą, że właścicielem fabryk ma być ktoś inny, niż dzisiaj—ani też w ogólnej opinji, oszałamianej niemilknącą reklamą. Problemat jest bardzo obszerny; przyjrzyjmy się najpierw zagadnieniu pracy.

Znana to rzecz, że praca może być dla człowieka zarówno źródłem udręki, jak i rozkoszy, zależnie od tego, w jakim stopniu jest twórczą, jak dalece znajduje w niej zastosowanie i zaspokojenie tkwiąca w każdym cząstka ducha Bożego, rozumu i natchnienia, odróżniającego człowieka od zwierzęcia. Nie należy oczywiście sądzić, że twórczość pracy występuje tylko na najwyższych jej szczeblach, przeciwnie, może się ona przejawiać na każdym stopniu rozwoju umysłowego, w najskromniejszem rzemiośle i porywa zarówno Reymontowego pastuszka, strugającego swoim kozikiem „zmyślne wiatroki“, czy boćka, ruszającego skrzydłami, jak i uczonego, zgłębiającego tajniki budowy materji, lub fale eteru. Praca bez udziału intelektu, takiego właśnie, na jaki danego pracownika stać, jest dla człowieka katorgą i niewątpliwie mają rację ci badacze, którzy jak n. p. Sombart, główną rolę w niepokoju, trawiącem masy robotnicze, przypisują nie materjalnym warunkom bytu, które się przecież poprawiają i stały się w wielu wypadkach zupełnie znośne, a nawet zadowalające, jeno owemu niezaspokojeniu potrzeb intelektualnych przy pracy, jej monotonji i bezmyślności. Podział pracy, ów konieczny warunek mechanicznej produkcji, rozdzielenie procesu konstruktywnego na szereg nic nie mówiących ułamków, jest dla ogółu oczywiście zaprzeczeniem tej radosnej pracy, a daje zadowolenie intelektualne tylko nielicznym jednostkom, które nad wydos-

skonaleniem tego systemu, głowy sobie łamią. Na tej drodze doszliśmy w Europie do rezultatów, do niedawna uważanych za znakomite, Ameryka prześcignęła nas jednak bardzo znacznie.

Każdy u nas może jeszcze usłyszeć śpiew dziewcząt pracujących w polu; co dzień prawie przechodzę koło sporej kuźni, w której kowale, podzwaniając do taktu młotami, przyśpiewują sobie przy robocie, nie uważanej przecież za lekką. Są to naturalnie obrazki zupełnie nie „modern", jeśli kto chce natomiast obrazu, zupełnie odpowiadającego nowoczesnym „wymogom", to niech przypomni sobie scenę, rozpoczynającą piękną powieść Jacka Londona „Dolina Księżycowa", scenę masowej histerji na tle poszarpanych przez monotonję pracy nerwów prasowaczek w „modern" pralni w San Francisco.

Taki jest postęp amerykański na tem polu.

Drugi obrazek: śniadanie dziesięciu tysięcy robotników w jednej z fabryk Forda, opisywane już z zachwytem w prasie europejskiej. Na dany sygnał masy robotników szykują się pośpiesznie wzdłuż toru kolejki motorowej, przesuwającej w miarowem, obliczonem tempie wagony-cysterny z mlekiem i kawą. Robotnik uiszcza opłatę, którą ma przygotowaną i podstawia naczynie pod odpowiedni kran, skąd nastrzykają mu wymierzoną porcję posiłku. Wszystko odbywa się szybko, sprawnie, opis nie dodaje tylko, czy do żołądków robotników dorobiono też patentowane krany, pozwalające odrazu na przelanie tam całej zawartości z pominięciem przełyku i towarzyszących mu wrażeń smakowych. Dodać trzeba, że tak śniadający robotnicy, to bynajmniej nie nędzarze z przytułku, lecz ludzie zarabiający minimalnie po 6 dolarów dziennie, a więc uposażeni mniej więcej tak, jak nasi ministrowie.

Przypadek zrządził, że opis owego masowego śniadania umieszczony był w jednym z miesięczników tuż obok artykułu, traktującego o urządzaniu wnętrz mieszkaniowych, gdzie można było wyczytać rady utrzymania pokoju, w którym się spożywa śniadanie, w tonach jasnych, wesołych, z przewagą białego i żółtego; w pokoju tym bowiem zaczynamy dzień, a ważne jest, żebyśmy zaczęli go w dobrym, pogodnym nastroju.

Nie trzeba jednak aż takiego zestawienia nędzy i luksusu, wystarczy uprzytomnić sobie różnicę między „modern" amerykańskiem śniadaniem dobrze płatnych robotników Forda, a posiłkiem ubogiego chociażby rzemieślnika, spożywanym przy stole rodzinnym w towarzystwie żony i dzieci (ideał chyba nie zbytnio przesadny i nadziemski), ażeby zrozumieć całą pustkę zachwytów nad „amerykańską" organizacją, a jednocześnie zdać sobie sprawę z tego, jak daleko sięgnęła już suggestja zamorska, skoro taki obraz wywołuje podziw zamiast politowania.

Stany Zjednoczone były i są jeszcze teraz krajem, do którego się jedzie z wyłącznym celem zrobienia pieniędzy, w ogromnej liczbie wypadków nawet bez zamiaru zużycia zdobytej fortuny na miejscu, ale z chęcią powrotu do „starego kraju" i dokonania tam żywota. Od niedawna dopiero stają się Ojczyzną dla wielu swych obywateli. Jest naturalne, że w takich warunkach wyrobiły się tam i trwają rabunkowe metody i nawyczki na wszystkich polach działalności ludzkiej: przed oczyma mieli wszyscy tylko jeden cel: skuteczną gonitwę za dolarem. Nie jest jednak wcale naturalne przenoszenie tych metod do krajów, nie stanowiących chwilowego tylko przytułku i miejsca zarobku dla ich ludności, gdzie przeciwnie ludzkość od zarania wieków jest u siebie i zamierza pozostać, mozoląc się nie tylko nad zdobywaniem środków utrzymania, lecz również i w większej jeszcze mierze nad wytwarzaniem wartości duchowych, moralnych.

Taką rabunkową dla psychiki ludzkiej metodą jest święcąca za oceanem triumfy zasada: dobry zarobek wzamian za zmechanizowanie wszystkiego, bodaj i funkcyj życiowych. Podział pracy doprowadzono tam do absurdu: analizując nie tylko każdą funkcję, lecz każdy ruch ręki robotnika, stworzono system, robiący z ludzi istne automaty, a maszyny dokończyły tam swej ewolucji, stając się z pomocników panami ludzi przy nich pracujących. Rezultaty są materjalnie świetne. Jakie zaś będą pod względem psychicznym, też nie może być wątpliwe: człowiek nie używający swych zdolności umysłowych przy wypełniającej większą część życia pracy zawodowej, musi stać się kretynem, jeżeli nie w pierwszem, to w następnych pokoleniach, a żaden chyba z obrazów dantejskiego piekła nie przewyższy swą grozą tego widoku, jaki po zatriumfowaniu amerykańskich metod mógłby z wysokiej góry ukazać człowiekowi szatan, mianowicie widoku miljonów istot, stworzonych na obraz i podobieństwo Boskie, spędzających życie na wykonywaniu bezmyślnych, automatycznych ruchów.

Tendencje mechanizowania, ujednostajniania, „standardyzacji", przedostają się do wszystkich dziedzin życia i stają przed wrażliwszemi umysłami jako groźna zmora. Zamiast sielankowych obrazów przyszłości w rodzaju Bellamy'ego, w nowszej literaturze spotykamy jakieś ponure wizje świata, podzielonego na regularne odcinki, miast zbudowanych z jednostajnych prawidłowych bloków domów, w których w jednakowych mieszkaniach przebywają ludzie, karmieni jednakowo z centralnych kuchen, znani zresztą tylko jako „numery" i podlegający absolutnej władzy centralnej, sprawującej rządy w imię sprawności produkcji. Wizje te nie są tak fantastyczne, jakby ktoś mógł przypuszczać: w zeszłym roku pewien Amerykanin ogłosił, że wymyślił system skatalogowania wszystkich ludzi. Taki katalog, obchodzący się bez imion i nazwisk, podstawiający zamiast rodu i plemienia cyferkę biblioteczną, będzie, powiada, bardzo praktyczny w stosunkach handlowych.

Zaraza szerzy się, gdyż naogół panuje jeszcze przekonanie o zbawienności dzisiejszego porządku kapitalistyczno-industrjalnego, i doprowadzanie go do coraz większej doskonałości technicznej, przyjmowane jest jako nieunikniona konieczność. Tymczasem system dzisiejszy wykazuje już bardzo poważne rysy. Jeszcze drobna część świata nie została doprowadzona do ideału mechanicznej „wydajności", a już mamy miljony bezrobotnych; co będzie dalej, zwłaszcza, gdy racjonalizowanie posuniemy dalej w kierunku istotnie pożądanym i skreślimy te przemysły, które produkują rzeczy nikomu nie potrzebne i które można zbywać dopiero po intensywnej, suggestjonującej kampanji ogłoszeniowej?

Dziś nadchodzi czas na nowy system, który musi być syntezą dotychczasowych doświadczeń, skorzystać ze wszystkich zdobyczy techniki i oddać je na służbę naturalnego dążenia ludzkiego do swobody, samodzielności i twórczej pracy. Metody amerykańskie, zmierzające do wytworzenia z ludzkości karnego, bezmyślnego stada, są zaprzeczeniem tego koniecznego postępu, są wstecznictwem.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

PSYCHIKA NASZEJ MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

(Próba charakterystyki)

ROZPATRUJĄC właściwości młodzieży, musi się je oczywiście oceniać na tle całości społeczeństwa, bo młodzież jest przecie cząstką ogółu ludności danego kraju. Jeżeli chodzi o psychiczną charakterystykę Polaków, to opinje naogół są zgodne i podkreślają przewagę pierwiastków emocjonalnych nad rozumem i wolą. „W charakterze naszym, mówi Bolesław Prus, uczucie stanowczo przeważa nad myślą i wolą... w dziedzinie myśli fantazja i skłonność do marzeń góruje nad obserwacją i ścisłem rozumowaniem". Profesor J. Kochanowski widzi „jakby kobiecość mężów, a męskość niewiast". I rzeczywiście wiele przykładów tak z historji, jak i z teraźniejszości możnaby przytoczyć dla zilustrowania tych twierdzeń, którym wyraz nierzadko dawała też literatura piękna.

Czy jednakże ocena ta jest bezwzględnie ścisła? Czy można ją zgeneralizować? Czy chociażby sam B. Prus podpada pod tę charakterystykę? Czy n. p. Jan Tarnowski, Zamoyski, Żółkiewski, Staszic, Czacki, Wielopolski, Gołuchowski, których chyba nie sposób podciągnąć pod tę modłę, nie mieliby być zaliczeni do Polaków? Zdaje mi się, że te generalne charakterystyki opierają się na dorywczych spostrzeżeniach, wyławiają cechy częstsze, a zwłaszcza rzucające się w oczy. Konieczne więc są badania gruntowne i systematyczne, oparte na szerokim materjale, a te niewątpliwie wykażą, że nie będzie możliwe stworzenie jednego schematu, pod któryby można podciągnąć każdego Polaka, bo jak antropologicznie struktura nasza jest wysoce zawiłą i złożoną, tak i psychicznie nie można mówić o jakimś jednym, jednolitym typie. Stosunki takie widzimy zresztą wśród wszystkich wielkich narodów: jak różnolite typy przedstawiają n. p. Niemcy, dość zestawić Schillera i Goethego, nie mówiąc już o Fryderyku II, Bismarku, Metternichu, a z drugiej strony niedołężnym Ferdynandzie Łaskawym.

Spostrzeżenia moje odnoszą się głównie do młodzieży gimnazjalnej, którą starałem się poznać w licznych, rozmaitych punktach całego obszaru Rzeczypospolitej. Nie są one ukończone i w pełni opracowane, ale dostarczają już pewnych charakterystycznych danych, z których parę chcę tu zestawić.

Przedewszystkiem, podobnie jak panna J. Joteyko, mogę stwierdzić wyższość intelektualną ogółu naszej młodzieży gimnazjalnej w porównaniu z zagraniczną. N. p. znane próby (testy) Bineta-Simona, przeznaczone dla dorosłych, rozwiązywali poprawnie liczni lwowscy uczniowie już w klasie piątej, więc w wieku lat 15. Badając przy pomocy testów specjalnych (zmodyfikowana metoda Rossolima) rozmaite strony życia psychicznego, widzimy, że zwłaszcza korzystnie przedstawia się wyobraźnia, której wskaźnik znacznie przekracza odpowiednie wartości u Niemców. Wysokie wskaźniki wykazuje też pamięć, natomiast ścisłość rozumowania i zdolność skupienia uwagi są słabsze. Cechy zatem naogół zgodne z konwencjonalną charakterystyką.

Strona uczuciowa zaznacza się nader wyraźnie, przy badaniach nad współzawodnictwem miałem sposobność stwierdzić jej silny wpływ i to nader swoisty, bardzo wyraźnie różniący nas od Niemców. Oto bodziec współzawodnictwa działa, w przeciwieństwie do Niemców, nawet na najlepszych, którzy widocznie nie pracują pełną parą na codzień, ale też w razie potrzeby zdolni są „dokonywać cudów". Nader dodatnio i korzystnie wpływa poczucie sympatji i solidarności grupy, co oczywiście i praktycznie może mieć wielkie znaczenie w organizacji pracy zbiorowej, a w życiu codziennem ma swój odpowiednik w towarzyskości słowiańskiej i chętnej pracy gromadnej. Wreszcie hazard, niepewność sytuacji bywa z reguły czynnikiem silnie pobudzającym i produktywnym, co oczywiście znów w życiu praktycznem może się ujawnić w dodatnim i ujemnym kierunku i właściwość tę powinna szkoła odpowiednio skierować i ustalić.

Bardzo charakterystyczny jest rozwój stopniowy naszej młodzieży. Dr-ka Joteyko, w swych badaniach nad młodzieżą gimnazjum niższego, stwierdziła znaczną różnicę w poziomie intelektualnym między klasą II a III. Podobny objaw miałem też sposobność wielokrotnie zauważyć tam, gdzie niema znaczniejszej ilości młodzieży starszej w klasach, która tę prawidłowość może zatrzeć. Bo oto okres następny charakteryzuje się pewną depresją, rzec można „ogłupieniem" w czasie t. zw. „cielęcych lat". Klasa IV, a często i V przedstawia się intelektualnie gorzej, niż III. Spostrzeżenie to budzi poważne wątpliwości co do konstrukcji obowiązujących planów naukowych, wedle których w klasie IV zaczyna się wyższy stopień, przeładowanie materjału, użycie odmiennych metod. Oczywiście jeszcze większe zastrzeżenia muszą pod tym względem wzbudzić dalsze projekty zwinięcia niższych klas gimnazjum, co pociągnęłoby nadto zmianę szkoły, kolegów, nauczycieli, otoczenia.

Przedstawiony rozwój w szczegółach nie jest jednolity, owszem poszczególne „władze duchowe" kształtują się w rozmaitem tempie. Gdy n. p. u młodzieży lwowskiej pamięć przeciętnie osiąga swój szczyt około 15—16-go roku życia, wyobraźnia w 16—18, to największą zdolność spostrzegawczą w odniesieniu do konkretnych szczegułów wzrokowych wykazali trzynastoletni, gdy przeciwnie krytycyzm i ścisłość rozumowania po spadku wyraźnym w latach 14—16 stale rośnie aż do ukończenia gimnazjum. Prawidłowość jest całkiem wyraźna, oczywiście rozpatrując poszczególne grupy jako całość. Inna jeszcze właściwość daje się zauważyć w związku z wiekiem, zresztą zdawna obserwowana i ujęta w zasadę mniejszej wartości tak fizycznej, jak umysłowej jednostek starszych w tej samej klasie. Najlepiej pod każdym względem przedstawiają się roczniki młodsze, zwykle dwa najmłodsze, gdy „weterani" mimo czasem parokrotnego repetowania, nie mogą dorównać „smykom", a tembardziej niżej stoją od równolatków z klas wyższych. Znów uwaga praktyczna, iż nie jest rzeczą uzasadnioną dążenie do przesunięcia na później początku obowiązkowego nauczania.

To są wspólne cechy naszej młodzieży. Jeśli chodzi o młodzież innych narodowości, mniejszości słowiańskie, jakie miałem sposobność poznać, nie wykazują cech zasadniczo różnych tak fizycznie, jak umysłowo, różnice są tylko ilościowej natury. Tak n. p. ludność rusińska wykazuje te same typy, a zbliża się jedynie do młodzieży włościańskiej polskiej, ale też ogromna większość jej rzeczywiście jest tego pochodzenia, jeśli nie w pierwszem, to w każdym razie niedalekiem pokoleniu. Znaczniejsze różnice, jak już wspomniałem, uwidoczniają się w odniesieniu do Niemców. Natomiast bardzo inną jest młodzież żydowska. Rozwija się wcześniej, tak n. p. *maximum* pamięci wśród młodzieży lwowskiej wypada na rok 13, krytycyzm w klasach średnich przedstawia się korzystniej, niż u aryjczyków. Stąd też wynik, że młodzież ży-

dowska w klasach niższych dominuje nad polską, z czasem jednak następuje wyrównanie, a nawet zdystansowanie tak, że na stopniu wyższym tak wartości przeciętne, jak i szczytowe, maksymalne przesuwają się wyraźnie na korzyść aryjczyków. Tem też tłumaczy się pospolity fakt zmniejszania procentowego ilości semitów w miarę postępu klas, a jedynie większa pilność i wytrwałość, nie rzadko razem z korzystniejszemi warunkami ekonomicznemi, wysuwa ich nad zdolnych, ale lekkomyślnych aryjczyków. Ta pracowitość ujawnia się i w klasyfikacyjnych wynikach, odsetek semitów celujących w zbadanych przezemnie gimnazjach lwowskich w r. 1918 wynosił 9,4%, gdy u chrześcijan tylko 7,5%. Natomiast jeśli chodzi o jednostronne wyniki, to żydzi przedstawiają się lepiej w językach obcych, natomiast słabo w naukach przestrzennych, więc przyrodoznawstwie, geometrji, rysunkach. Wśród aryjczyków największy procent odznaczeń wykazują historja i nauki przyrodnicze. Matematyka przedstawia się naogół słabo tak u jednych, jak drugich, choć nie brak i wybitnych, ale większość ogromna nie wydostaje się ponad „dostatecznie".

Charakterystyczne są też i upodobania w poszczególnych przedmiotach. Przeprowadzona w tym celu ankieta w r. 1920 w gimnazjach lwowskich, warszawskich i łódzkich, dała cechy wcale wyraźne i zgodne z poprzedniemi spostrzeżeniami. Tak n. p. wśród aryjczyków z nauk przyrodniczych największą popularnością cieszyła się fizyka, z kolei następowała biologja, na końcu idzie chemja, u semitów wprost odwrotnie. I znów z tem harmonizuje spostrzeżenie statystyczne, że wydziały chemiczne obu naszych politechnik, oddziały chemji w większości uniwersytetów, podobnie jak studja farmaceutyczne, cieszą się frekwencją semitów niestosunkowo wysoką. Godzą się z tem również spostrzeżenia, poczynione w Warszawie w niektórych pracowniach psychotechnicznych, wedle których okazuje się, że „młodzież żydowska, niekiedy wybitnie uzdolniona pod względem intelektualnym, nie dopisuje zupełnie w próbach wyobraźni plastycznej. Występuje to w sposób stały i niezawodny" (Studencki). Wyniki te świadczą o daleko posuniętych różnicach rasowych także w dziedzinie psychicznej.

Nie trzeba jednakże sądzić, aby młodzież polska sama w sobie była jednolita. Przeciwnie. Obok wskazanych właściwości wspólnych, typowych dla ogółu, bliższa analiza wykazuje nader silne zróżnicowanie. Jak rozmaitość znaczną pod względem cech fizycznych widzimy w tej samej klasie, tak samo spotykamy się zazwyczaj z różnemi temperamentami: będą tam jednostki pełne inicjatywy, werwy, narzucające swe przekonania otoczeniu i inne bierne, podatne, — są jednostki już w szkole średniej rozważające teoretycznie zagadnienia naukowe, dążące do samodzielnego zdobycia prawd, — inne znów marzycielskie, zamknięte we własnym życiu duchowem — i jeszcze inne, myślące jedynie o praktyce codziennego życia. Zaznaczają się jednostki nieugięte, mimo przeszkód z żelazną konsekwencją idące do wybranego celu, i inne chwiejne, cofające się, lub jak wosk plastyczne. Niewątpliwie jednak w całej tej bogatej rozmaitości istnieje prawidłowość, każdy specjalny wypadek jest wynikiem działania praw dziedziczności, konserwatyzmu rasy i rodu, a z drugiej strony modyfikującego wpływu otaczających warunków i czynników zewnętrznych.

Zaznacza się przedewszystkiem wpływ rasy. Z ras, wyróżnionych przez prof. Czekanowskiego na ziemiach polskich, najbardziej zwartą i jednolitą jest t. zw. północna.

Jest to blondyn wysoki, jasnooki, długogłowy i długolicy, najobficiej u nas reprezentowany w Wielkopolsce i na Pomorzu, ale wzdłuż rzek rozprzestrzeniający się szeroko po kraju. Typ o profilu intelektualnym średnim, lub więcej niż średnim, bez znacznych jakichś odskoków w dół lub w górę, uważny, o niewielkiej bujności wyobraźni, uczuciowo zbliżony do północnych Niemców, wytrwały, zawzięty, zamknięty w sobie, nie lubiący ryzykownych eksperymentów, namiętny w dobrym i złym kierunku.

Jednolicie przedstawia się też typ sarmacki czyli subnordyjski, którego ośrodkiem są ziemię północnowschodnie, ale który dzięki swej ruchliwości rozprzestrzenił się szeroko po całej Rzeczypospolitej i poza jej granicami. Jest to również typ jasny, jak poprzedni, ale o innej, okrągłej budowie twarzy i czaszki. Psychicznie kontrast poprzedniego. Fantazja wybija się na czoło, dużo jednostek niezwykle zdolnych, samodzielnych. Znaczna spostrzegawczość, wielka bystrość w rozumowaniu, także i ścisłość, o ile nie zawiodą inne czynniki związane z siła woli, np. uwaga. Typ ambitny, pragnący „postawić się" i pokazać, przodować, stąd ogromnie podatny wpływowi współzawodnictwa, typ owego ruchliwego i niesfornego gminu szlacheckiego ze wszystkiemi zaletami i wadami, bardzo dziś liczny wśród inteligencji i stąd, jak dawniej, nadający ów rzucający się w oczy charakter ludności polskiej.

Nieco inny jest typ właściwy małopolski, t.zw. alpejski z południowego zachodu. Fizycznie słabszy, niższego wzrostu, o ciemniejszych włosach i zwykle siwych oczach. Intelektualnie również wysoki, częste tu upodobania naukowe, wadą pospolicie nieopanowana wyobraźnia, wyradzająca się nawet w pozą i blagę.

Natomiast nader niejednolitym jest typ przedsłowiański, o wielu pierwotnych cenach tak fizycznych jak duchowych. Niski, o grubych nieregularnych rysach twarzy, brunatnych włosach i zwykle piwnych oczach, w masach skupiony przedewszystkiem na jałowych piaskach Mazowsza i Wołynia, ale szeroko reprezentowany wszędzie, zwłaszcza wśród warstw proletarjatu i robotników tak wsi, jak miasta. Intelektualne naogół stoi najniżej ze wszystkich ras naszych, jakkolwiek czasem trafiają się jednostki nawet wybitnie uzdolnione.

Wreszcie wysoki, ciemno ubarwiony typ dynarski z południowo-wschodniego cypla Rzeczypospolitej, obficie występujący wśród Rusinów (Huculi), ale zapewne dzięki krzyżowaniu, trafiający i w nader odległych punktach (Wilno). Zdaje się okazywać większą bierność umysłową, przy pewnej marzycielskiej wyobraźni i dobrej pamięci.

W szkole różne te typy występują obok siebie, nie mówiąc o elementach napływowych, wśród których największy kontyngent stanowią Żydzi, zwłaszcza na terenie byłego zaboru austrjackiego. Stosunki jednak, występujące w szkole średniej, nie są prostem odbiciem i odzwierciadleniem ogółu ludności. Wskutek rozmaitego stopnia wrodzonych uzdolnień ujawnia się dobór: w gimnazjach stosunkowo mniej liczny jest typ przedsłowiański; nawet na swem terytorjum etnograficznem na Mazowszu, ustępuje miejsca zdolniejszym, więc przedewszestkiem ruchliwemu sarmackiemu, jakoteż roboczemu i solidnemu północnemu.

Z rasą wiążą się stosunki ściślejsze rodowe: pochodzenie i zawód rodziców, jako czynniki konserwatywne, jako wyraz dziedziczności. W zbadanym materjale, tak w poszczególnych klasach, jak i w całości, najwyższy profil intelektualny okazuje młodzież pochodzenia szlacheckiego, ale równocześnie wielką niestałość w pracy. Przeciwnie młodzież włościańska, z re-

guły mniej lotna, ale wytrwała i robocza. Wykazuję to nie tylko badania eksperymentalne, ale ocena profesorów, uczących w poszszególnych klasach i opinja uczniów samych, daty zdobyte na podstawie odpowiedniej ankiety.

Gdy znów rozsortować badanych wedle zawodu rodziców, to najlepiej przedstawiają się dzieci inteligencji urzędniczej, na szarym końcu stoi plutokracja. Ocena klasyfikacyjna godzi się, jedynie dzieci z proletarjatu przesuwają się na koniec, co świadczy, że przy właściwej opiece i regulowaniu stosunków możnaby z tego materjału więcej wydobyć, niż obecnie. Znowu ważne zagadnienie społeczne.

Z czynników zewnętrznych pragnę zwrócić uwagę na znaczenie środowiska, w którem pracuje szkoła. Podnoszę jeden czynnik, wielkość zaludnienia danego miasta. Okazuje się, że profil intelektualny w miastach dużych rośnie i to bardzo wyraźnie i prawidłowo. I rzecz charakterystyczna, poza największemi środowiskami zależy on wyłącznie od ludności miejscowej, przyrost elementu napływowego, więc Żydów, jest bez znaczenia. Widocznie tam, w tych małych miastach, gdzie ogół ludności żydowskiej zamknięty jest w swem ghetto, kultury obie są zbyt różne, nie wypierają się. Nie wchodzę oczywiście w kwestję wyższości lub niższości, jest to zresztą rzecz względna, faktem jest, że w tych samych nawet miejscowościach w tych szkołach, gdzie procent młodzieży żydowskiej jest bardzo znaczny, poziom intelektualny ogółu się obniża. Widać to wyraźnie we Lwowie, w zakładach państwowych. Fakt ten godzi się z wynikami badań prof. Nawroczyńskiego, iż jednaki skład grupy podnosi jej wydatność, gdy przeciwnie zmieszanie żywiołów rozmaitych, choćby nawet dobrych, jest niepożądane.

Ale, rzecz ciekawa, wpływ wywiera nie tylko teraźnieiszość, lecz i przeszłość. Okazuje się, że poziom intelektualny młodzieży szkolnej naogół jest wyższy w miastach starych, mających odległą przeszłość historyczną, środowiska zaś nowe, stworzone w ostatnich czasach przez zaborców, gdzie tradycji i kultury polskiej właściwie prawie niema, nie są środowiskami dodatniem intelektualnie. Zdaje sie, że nie działają tu tylko jakieś materjalne zabytki, jakieś pamiątki, choć i te pewnie nie są bez znaczenia, ale jakieś *imponderabilia*, jakieś czynniki nieważkie, a przecie bezwzględnie znaczące. I to wskazówka dla organizatorów.

Nie mówię wre zcie o różnicach wywołanych bezpośredniemi działaniami wojny, jak kilkoletnie zawieszenie nauki, albo brak nauczycieli, ani też o skutkach wadliwego wychowania w domu lub szkole.

Odwrotnie znów, działa szkoła i klasa także asymilująco w dobrym i złym kierunku. Jest to asymilujące działanie masy. Rzecz charakterystyczna, że klasy, jak z własnych doświadczeń wiem i w rozmowach z innymi nauczycielami stwierdziłem, które czynne są społecznie w czytelniach, samopomocach, kółkach, czy innych instytucjach samorządowych, wybiiają się też i w nauce, a także inteligencją górują. Zapewne też istnieje tu pewne skoordynowanie, związek tego pędu do czynu i pracy, który niewątpliwie podnosi i wyrabia dobra atmosfera klasy.

Wywody powyższe wykazują, że mimo wspólnego podłoża, młodzież nasza, jak i całe społeczeństwo, nie jest jednolita. Jest to niewątpliwie poważne utrudnienie dla wychowawcy, jak nie łatwem jest zorganizowanie tak bujnego społeczeństwa, jak nasze. Wymaga indywidualizacji, specjalnej opieki, rozumnej organizacji. Ale ta rozmaitość uzdolnień może być i zaletą, jeśli będzie odpowiednio pokierowana i zorganizowana. Celem szkoły jest wyrobić te swoiste zalety, doprowadzić je do możliwej doskonałości i odpowiednio skierować, by w ten sposób przyczynić się do realizacji tego ideału społecznego, by „każdy człowiek był na właściwem stanowisku i na każdem stanowisku był właściwy człowiek".

LUDWIK JAXA BYKOWSKI

NIEPOWOŁANY WYCHOWAWCA

„MIASTO mojej matki", pierwsza książka Juljusza Kadena-Bandrowskiego, napisana—jak oświadcza autor w przedmowie—„dla młodzieży, dla was kochani, dobrzy nasi następcy", w ciągu niespełna dwóch lat doczekała się powtórnego wydania. Jednocześnie ogłosił Kaden-Bandrowski drugą książkę „z cyklu: Miasto mojej matki" p. t. „W cieniu zapomnianej olszyny". Widocznie więc i autor coraz pewniejszy czuje się jako wychowawca nadchodzących pokoleń i przez zastęp swych czytelników przyjaźnie został w tej nowej dla siebie roli powitany. Warto przeto, choćby w formie kilku uwag i przykładów, poruszyć zagadnienie: jaką wartość wychowawczą posiadać mogą te dwie ostanio wydane prace głośnego powieściopisarza?

Już sam styl, oryginalny a daleki od prostoty, jakim Juljusz Kaden-Bandrowski posługuje się, pisząc swe dzieła, poważne wywoływać może pod tym względem zastrzeżenia. Nie jest wcale rzeczą obojętną, czy młode pokolenie wychowywane będzie w rozumieniu właściwego znaczenia słów, przyuczane do wypowiadania się w sposób ścisły i powściągliwy, zatem wdroży się do gospodarowania skarbem mowy ojczystej ze czcią i poczuciem odpowiedzialności, czy też przeciwnie, przyzwyczai się traktować słowo, jak zabawkę, jak stroiki, które wdziewa się dla kokietowania swego otoczenia, jednem słowem rozmiłuje się w retoryce, kiedy wyrazy już przestają mieć wogóle treść jakąkolwiek, stając się tylko dźwiękiem. Jakże pięknym przykładem prostoty i precyzyjności stylu jest „powieść dla młodzieży" Sienkiewicza—„W pustyni i w puszczy"! Jeden cytat wystarczy, aby pokazać, jaką znów forme potrafi nadać wyrazowi swych wzruszeń Juljusz Kaden-Bandrowski. Opisuje mianowicie*), jak w pewnym momencie dzieciństwa, odkrył w sobie siłę niewidzialną a radosną, która, gdy był czemś zachwycony lub wzruszony, przemawiała przez niego i za niego: „W języku ludzi dorosłych taka rzecz nazywa się natchnieniem... W moim języku nazywało się to *Gujsztwakiem*". Ta moc niewidzialna odzywała się w nim nieraz w chwilach silniejszych przeżyć, aż nareszcie po latach:

„...Było to w zimie, rano, w mrocznym, miejskim pokoju. Czekałem pod ścianą, co wreszcie powie nasz doktór...

— Ma pan syna panie kapitanie.

Wtedy zobaczyłem *Gujsztwaka* na jawie, żywego od stóp do głowy. Zjawił sie w jednym błysku sekundy, zajmując całą przestrzeń pokoju. Tak to był on, cały on, utkany ze wszystkich moich wspomnień. Na głowie miał włosy sino-bronzowe, pokręcone, niby sprężyny morelowego fotela. Czoło z szarego kamienia, jak uśmiechnięta maszkara Sukiennic. W oczach obracały mu sie świeże, błyszczące żółtka. Brodę miał ze złotych sopli gęstej kwaśnej śmietany, kamizelę z piórek panterki, a spodnie z nieprzemakalnych dachówek mego stryja".

*) „Miasto mojej matki", nowela „Tajemniczy przyjaciel".

Nie trzeba zapominać, że przez użycie takich środków wypowiada autor uczucie najwnętrzniejsze, najbardziej osobiste: własną radość w chwili przyjścia na świat własnego, pierworodnego syna.

Ciągła chęć zadziwienia czytelnika, zaskoczenia go, poszukiwanie raczej osobliwości, niż prawdy—oto najogólniejsze wrażenie, jakie pozostawia lektura utworów Juljusza Kadena-Bandrowskiego. Dla chwilowego efektu, dla konceptu, autor gotów jest wykrzywiać psychikę swych bohaterów, czynić ją niezrozumiałą, wikłać się w nieustanne nieporozumienia i niejasności. Tak na przykład — podobnych przytoczyć można cały szereg—w noweli „Kukułka", w zbiorze „W cieniu zapomnianej olszyny", opisuje, jak pewnego wieczoru, powróciwszy z synami z lasu, rozpalił z nimi w ogrodzie ognisko:

„Kucnąwszy we trzech dokoła, widzimy się przez wątek dymu i przez kielich płomienia, którego brzegi wciąż płyną.

— Jesteście dwaj bracia i ja,—mówię wolno w szybkim trzasku gałązek—czyli jesteśmy tu we trzech.

Chłopcy patrzą poważnie na żarliwe „pismo" ogniste i przed siebie, za płot, w daleką ścianę lasu. Po długiej chwili znajdują wreszcie odpowiedź.

— Czyś ty też był we trzech? Czyś też miał ojca? Czyś też miał rodziców? Jak się nazywali twoi bracia? Czy też paliliście na takiej ścieżce ognisko?"

Czytelnik popada w zdumienie. Jakże to? Ci dwaj chłopcy, jak się dalej dowiaduje, sześcio lub siedmioletni, uchowali się, mając wątpliwości tak długo, czy wogóle posiadali kiedykolwiek dziadka i babkę? Nie widzieli po nich nigdy żadnej pamiątki, nie słyszeli żadnego wspomnienia? I to oni, których ojciec ogłosił właśnie dwa tomy... wspomnień dzieciństwa? A ta cała nieprawdopodobna sytuacja była konieczna dla drobnego literackiego efekciku, dla dowcipu: czy i ty także miałeś rodziców?!

*

Jeśli pisarz wybitny, który zyskał poczytność i sławę, w dojrzałym wieku decyduje się pisać książkę „dla młodzieży", czyni to wówczas, kiedy sam zdobędzie się na jednolity, harmonijny pogląd na świat, kiedy poczuje się wychowawcą, który wie jasno, w jaki sposób, według jakiego typu moralnego chce i powinien kształtować psychikę przyszłych pokoleń swego narodu. „W pustyni i w puszczy" Sienkiewicza, „*Puck of Pook's Hill*" Kiplinga, „Serce" Edmunda de Amicis—każda z tych książek jest dziełem pisarza-nauczyciela o konsekwentnej, określonej ideologji, i to właśnie piękno idei moralnej jest ich trwałą wartością wychowawczą i poetyckim urokiem. Jakież są walory ideowe dwóch ostatnich tomów Kadena-Bandrowskiego, jakie jest oblicze moralne ich autora?

Przesłonięte jest ono gęstwą literackich efekcików, nieszczerej, albo tylko może nieprzemyślanej frazeologji. Najwyraźniej jeszcze wypowiedział się autor w książce „Miasto mojej matki", we fragmencie „Szkoła". Pisząc go, jak przyznaje na wstępie, „ręka mu zadrżała ze strachu", bo „pisać o szkole, to tyle samo, co się spowiadać z marzeń... tyle samo, co chcieć kształtować serce człowieka i za kształt tego serca nieść odpowiedzialność". Przez trzy długie stronice Kaden-Bandrowski rozpisuje się okrągłemi frazesami na temat, jakie trudne, jak odpowiedzialne zadanie bierze na siebie człowiek, który chce pisać o szkole. Potem zaś, jako owoc długich rozważań, syntezę swojej myśli reformatorskiej, w taki sposób formułuje swą ideę:

„1) nie powinno być w szkole walki między uczniami, 2) podziału na biednych i bogatych, 3) różnicy ze względu na pochodzenie ucznia czy też „rasę", 4) wreszcie być nie powinno, by nauczyciel głośno przeklinał swój profesorski los.

Porównajmy te fragmentaryczne, bardzo luźnie z sobą związane cztery hasła, wszystkie negatywne, z owym rzeczywistym, systematycznym traktatem poetyckim o szkole, jakim jest „Serce" Edmunda de Amicis. Jakaż tam pełnia, jak dokładny obraz nie tego, czego być „nie powinno", ale tego, czem pozytywnie stać się musi szkoła włoska dla młodego Włocha i jak on sam powinien układać swój stosunek do ojczyzny, rodziców, kolegów, do przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, do króla i do żebraka!... Juljusz Kaden-Bandrowski głosi jedną tylko „demokratyczną" ideę—niwelacji: „nie powinno być różnic"...

Każdy z punktów swego programu reformy uzasadnia Kaden-Bandrowski osobną nowelą — wspomnieniem. Z pierwszej z nich p. t. „Niejaki Kastalski" można wyprowadzić wniosek, iż autorowi chodzi nietylko o usunięcie czynnika „walki", ale wogóle współzawodnictwa między lepiej i gorzej rozumiejącymi naukę uczniami. Druga i czwarta są jedynie ilustracjami odnośnych, przytoczonych powyżej tez, ani spornych zresztą, ani nowych. Najciekawsza jest nowela, rozwijająca myśl, zawartą w punkcie trzecim, p. t. „Żyd".

Treść noweli jest osobliwa. Na początku czytelnik dowiaduje się, że korepetytorem autora został pewnego dnia niejaki Sontag, Żyd, który z pieniędzy, zarobionych korepetycjami, utrzymywał starego, ślepego ojca. Sontag — snuje swoje wspomnienia Kaden-Bandrowski — „odziany był nader nędznie — wszystko wystarzałe, przetarte i pocerowane. Byłem zdumiony" — (autor doskonale pamięta, iż uwaga tak wyraźnie polemiczna pojawiła się już w umyśle drugoklasisty) — „że tyle zbrodni i łotrostw, które popełnia jakiś naród, nie może temu narodowi zapewnić nawet porządnego przyodziewku". W każdym razie przypomina to sobie dokładnie, iż niecierpiał Sontaga z całej duszy, niecierpiał dlatego tylko i jedynie, że Sontag był Żydem*). Był to tedy klasyczny przykład „nienawiści rasowej bez żadnego powodu", którą, jako jedynem wytłumaczeniem zjawiska antysemityzmu szermuje zawsze nacjonalistyczna publicystyka żydowska. Przykład tem niezwyklejszy, iż w życiu — z reguły — antysemityzm budzi się stopniowo, empirycznie, na podstawie obserwacyj i doświadczeń.

W ślepej swej nienawiści do Żyda-Sontaga młody Kaden-Bandrowski wpadł na pomysł istotnie szatańsko złośliwy. Zdecydował mianowicie, że „na złość" nic „nie będzie rozumiał", co mu Żyd objaśnia. Sontag czynił rozpaczliwe wysiłki — bezskutecznie. Trwało tak „przez kilka długich tygodni".

„Nieraz przychodził mój starszy brat, kolega Sontaga, i razem mi tłumaczyli. Brat mnie bardzo prosił, bym się starał zrozumieć, bo Sontag ma jeszcze oprócz mnie różne inne lekcje. Kiedyż wróci do domu i kiedyż się zacznie uczyć sam dla siebie?

O to mi właśnie chodziło, by nie miał czasu uczyć się dla siebie, by zgłupiał i sam też nic nie umiał!"

Największy podziw budzić musi ta olbrzymia siła woli, ta wytrwałość, na którą w imię celu tak nieuchwytnego umiał zdobyć się młodziutki uczeń z drugiej klasy. Rówieśnicy jego, odrobiwszy zadane lekcje, wybiegali do ogrodu czy na ślizgawkę, zabawiali się wesoło z rodzeństwem lub kolegami, on tymczasem „na złość" długie godziny przesiadywał nad książką, w towarzystwie znienawidzonego Sontaga!

Wreszcie nastąpił kryzys. Raz w czasie lekcji Sontag, patrząc swemu uczniowi prosto w oczy, „krzyknął: — Teraz widzę, rozumiesz!" W odpowiedzi uczeń uderzył korepetytora w twarz. Do pokoju wszedł ojciec...

---

*) Swój ówczesny stosunek do Żydów w ogólności — temi słowy określa autor na początku tejże noweli: „...Żydów poznałem dopiero w gimnazjum... Ile razy sobie przypomniałem, że są poprostu Żydami, — niecierpiałem ich".

A morał opowiadania?

„Ojciec usiadł na kanapie, pociągnął do siebie lekko Sontaga, oparł rękę na jego ramieniu... Powiedział, że ojciec Sontaga kocha swego syna, tak samo, jak mój ojciec mnie kocha. Że matka Sontaga, bezwątpienia—stara Żydówka, kocha swego syna, jak moja matka mnie...

— Rodzice i dzieci,—niema nic innego na świecie, tylko to. Trzy razy powtórzył: — Tylko to. Tylko to. Tylko to".

A więc: nie istnieją zupełnie węzły narodowe, religijne, które łączą i dzielą ludzi na poszczególne grupy, jeden tylko jest związek rzeczywisty—rodzina, a ponad nim ogólna suma rodzin—ludzkość! To jest wszystko, co o zagadnieniu żydowskiem na ziemiach polskich autor miał do powiedzenia młodemu pokoleniu. „Tylko to". Dla tej konkluzji postanowił przeciwstawić młodego Polaka młodemu Żydowi w tak starannie dobranym szeregu sytuacyj. Niema co mówić: piękna lekcja rozumienia spraw narodowych dla polskiej młodzieży!

Na szczęście jednak, przytoczone powyżej negatywne stanowisko wobec zagadnień narodowych, nie jest w książkach ostatnich Kadena-Bandrowskiego przeprowadzone w sposób zupełnie konsekwentny. Są w nich wprawdzie stronice, które czyta się z uczuciem największego niesmaku, jak naprzykład, kiedy pisząc o wojsku austrjackiem autor zdaje się zapominać całkowicie, że to wojsko było obce, zaborcze*). Ale są też karty naprawdę piękne, krzepiące, jak opis krakowskiego pogrzebu Mickiewicza, rozpoczynający tom „W cieniu zapomnianej olszyny", albo krótka opowieść o bohaterskiej śmierci „syna Gucia". Miłość macierzyńską umie nieraz Kaden-Bandrowski wspomnieć w sposób rzeczywiście wzruszający.

Ale jest w obu jego książkach „dla młodzieży" pewna niejasność, która — być może — nie jest pozbawiona głębszego, zasadniczego znaczenia. Nikt nie wątpi, że „Serce" Edmunda de Amicis pisane było dla młodych Włochów, „*Puck*" Kiplinga — dla młodych Anglików, a przygody Stasia Tarkowskiego opowiada Sienkiewicz chłopcom polskim, aby były dla nich otuchą i przykładem. Adres natomiast, pod którym dzieło swe pragnie przesłać Juljusz Kaden-Bandrowski, nie jest zupełnie wyraźny. Rozpoczynając cykl „Miasto mojej matki" z temi słowami zwraca się on do swoich młodych czetelników:

„Przypomnij sobie, co myślisz o ojcu, a co i jak myślisz zwykle o matce.

Ojciec to twoja duma, tarcza, sława i obrona, — od najwcześniejszych lat. Gdy mówią o tobie obcy, zwykle pytają— a czyj to? Z których to proszę państwa, takich, siakich, owakich.—Malinowskich, Ostrowskich czy Symchów?"

Otóż, kim są Malinowscy, Ostrowscy—-wiadomo. Ale kim jest ów Symcha? Skąd pochodzi? Czy to takie nieznane nazwisko, czy może znane imię?

A kto wie, czy ta początkowa niepewność nie kryje w sobie najgłębszej, najistotniejszej, przyczyny, że Kaden-Bandrowski nie nadaje się na wychowawcę polskiej młodzieży?

JAN REMBIELIŃSKI

*) Tak n. p. w noweli „Tajemniczy przyjaciel" w książce „Miasto mojej matki" i w noweli „Polityka" w książce „W cieniu zapomnianej olszyny".

Z cyklu: GOŚĆ W DOMU

POKORA

Stanę się mniejszym i jeszcze mniejszym
aż będę najmniejszym na całym świecie.
Raniutko — na łące — w lecie
wyciągnę ręce po kwiat najmniejszy,
[najniebieściejszy
i wejrzę w serca wonne wahadło:
„chłopaczku bosy!
niebo oparło dłoń swą — na twojej kropelce rosy
aby nie spadło".

GAJ

Kiedyś — gdy się ożenię z jedyną
będę miał dwunastu synów,
dwunastu synow śmigłych, jak dwanaście brzóz.
Moja żona — jak kapliczka biała
W tym gaju splecionym, zielonym
Zagubi się cała.
A ja — w maju — na wiosnę
będę klęcznikiem przed nią — ciemnym mchem obrosłym.
Wnuczki — druchny klękać na mnie będą
i modlić się oczami czystemi,
jak źródło niebieskiemi.
A kiedy cienie zmierzchu cały gaj oprzędą
i zamażą rysunek wąskich, leśnych dróg,
na wieczerzę przychodzić do nas będzie Bóg.

W PARKU PRZEDPOŁUDNIEM

Po zielonych trawnikach płyną białe pierwiosnki,
Żaglowe łodzie wiozą niebieski dzień, beztroski.
Przy domkach z piasku
całemu parkowi dzieci go rozdają wśród śmiechu
[i wrzasków.
Jeszcze dzisiaj — ja także jestem dzieckiem małem,
mogę się śmiać i cieszyć mogę światem całym.
Jeszcze dzisiaj — i jeszcze — jeszcze może jutro
modlitwą gorącą, kwitnącą,
odkupię ból kamiennych domów, ich grozę okrutną.
Ale i modlitwa twardnieje jak ścigłe jabłko wśród gałęzi
[drzew.
Pojutrze — dojrzeją już moje oczy,
miłość rozjątrzy się i piersi me zabroczy
jak krew,
jak krwiste skrzepów pacierze.

Stanę się mężczyzną i żołnierzem
a żołnierz modli się już tylko bagnetem.

JERZY WOLKER

Z oryginału czeskiego przełożyli
KAZIMIERA i STANISŁAW ALBERTI

LIBERUM VETO

Nagana złą metodą.—Powchwała dla wszystkich nadużyć.—Polska stoi nierządem. — Obrona wyrębu drzew w parku Łazienkowskim. — Instytut do badania uzdolnień pracowników państwowych. — Utopia jako ulga.

PRASA narodowa wybrała zupełnie złą metodę oddziaływania na osoby i wypadki ujemne: ona je gani i tym sposobem zaleca i utrwala. A tu właśnie — jeśli chce osiągnąć pożądany skutek — powinna je chwalić, wysławiać a nawet ubóstwiać. Bo przecie — jak to wyraźnie słyszeliśmy — hasłem obecnym boju i podboju w polityce wewnętrznej jest „zmaganie się z Polską". Więc trzeba tak mówić: Napad na posła Zdziechowskiego był objawem bohaterskiego męstwa jego sprawców, którzy zasłużyli nie na karę, ale na „*virtuti militari*". Roczne więzienie bez sądu generałów w Wilnie jest aktem wysokiej sprawiedliwości i uszanowania zasad konstytucji. Ogłoszony przez niektóre dzienniki raport komisji śledczej, oczyszczający ze wszystkich zarzutów gen. Zagórskiego, jest zuchwałem fałszerstwem. Rozporządzenie dodatkowe ministra poczt o licznikach telefonicznych stanowi fakt ogromnej doniosłości, gdyż ożywi ruch komunikacyjny zwłaszcza w dziedzinie gospodarczej. Wyrok sądu wojskowego we Lwowie, uniewinniający zupełnie napastnika na redakcję „Słowa", wprowadził w zachwyt najsurowszych kapłanów Temidy i stał się wzorem dla jej świątyń w całym świecie. Tajemnicza, nie wiadomo przez kogo zarządzona rewizja w lubelskiej Straży Narodowej jest bardzo dowcipnym i oryginalnym pomysłem zaciekawienia publiczności, przypatrującej się wieloaktowemu widowisku w naszym zreformowanym teatrze administracyjnym. Utrzymywanie i uprzywilejowanie rozmaitych koncesjonowanych bojówek, działających poza armią na własną rękę, i nieodpowiedzialnych bojówek daje najlepszą rękojmię naszego bezpieczeństwa i ładu państwowego, ułatwiając Polsce zaciągnięcie pożyczki zagranicznej. Niewykonywanie wyroków sądowych na oszczerców z prasy „sanacyjnej" nadzwyczajnie podnosi urok i powagę naszych trybunałów i pobudza do wesołości skazańców. Rozwiązywanie ryczałtowe rad miejskich świadczy o niewyczerpanej energji administratorów, szukającej dla siebie coraz nowego ujścia, urzeczywistniającej zasadę Heraklita: „wszystko się porusza" i spełniającej nłajwyższy cel rządu: utrzymywanie życia i ustroju społeczeństwa w „stanie płynnym" albo nawet gazowym. Szanujmy tradycję: mówiono dawniej: „Polska stoi nierządem", trzeba dziś powtarzać i czynić to samo, jeśli się chce dalej snuć wątek przeszłości.

Ogólnie zaznaczene wyżej fakty godne pochwały uzupełnię szczegółowo ostatnim, który wywołał naganę w prasie.

Ktoś opatrzony odpowiednią władzą kazał wyciąć w Łazienkach stare drzewa dla otworzenia widoku na popisy jazdy konnej. Podniesiono z tego powodu krzyk. W Kalifornji istnieją drzewa tak stare i grube, że na ich ściętym pniu może się pomieścić 12 koni lub 50 osób. Dobrali się jednak do nich handlarze, którzy bez litości je rąbią i wyworzą na sprzedaż. Jeśli w kraju wysokiej kultury nie budzą szacunku i litości sędziwe olbrzymy, które „pamiętają oblężenie Troi", to dlaczegoż my mamy uczuwać skrupuły w powaleniu drzew, które pamiętają zaledwie Stanisława Augusta a co najdalej Sobieskiego? Prawda, że we Francji rosną wielkie stare drzewa, otoczone taką czcią, że nie wolno z nich zerwać jednego liścia a w ich spróchniałych pniach urządzane są kaplice; ale przecież my idziemy w postępie na czele wszystkich narodów i nie możemy krępować się więzami niedorzecznego zabobonu, więc wolimy naśladować radykalnych kalifornijczyków, niż konserwatywnych Francuzów.

Gdyby po tych wszystkich moich pochwałach uwięzieni generałowie zostali wypuszczeni, napastnicy min. Zdziechowskiego ujawnieni i oddani pod sąd, minister poczt przeniesiony w stan nieczynny, gdyby w parku Łazienkowskim zaprzestano ścinać stare drzewa i zaczęto sadzić nowe — uważałbym to za zupełnie naturalny skutek mojej apologji. Pewien urzędnik, któremu winszowałem sprawności i zacności w spełnianiu obowiązków, rzekł zaniepokojony: „Dziękuje panu za uznanie, tylko proszę nie wyrażać go z mojem nazwiskiem w jakiemś piśmie publicznem. Bo z pewnością byłbym naprzód zelżony w prasie sanacyjnej a potem zredukowany".

Nie potrzebuję stosować tej metody i wywoływać twierdzenia przeczeniem w innej sprawie. Jak wiadomo, w całym świecie kultury zapanowała obecnie idea naukowego badania uzdolnień ludzkich i należytego zużytkowania ich. W najwyższej mierze czyni to przemysł. Wielki i dobrze zorganizowany zakład nie przyjmuje robotników bez uprzedniego poznania ich właściwości fizycznych i umysłowych, nie przeznacza ich do zajęć na ślepo, lecz daje każdemu właściwe, a nieraz je zmienia po doświadczeniu, gdy okazało się nieodpowiedniem, a inne lepszem. Ta idea przeniknęła już i do nas, zrodziwszy kilka instytucji, wydawnictw i zastosowań praktycznych. Ale dotychczas ogranicza się ona tylko do przemysłu, natomiast wszystkie inne dziedziny życia i pracy pozostają przed nią nietknięte. Zbytecznem byłoby dowodzić, że jeśli jest rzeczą ważną, ażeby każdy robotnik przeznaczony był do takiej czynności w warsztatach fabrycznych, do której posiada największą zdolność, to co najmniej jest równie ważnem, ażeby według tej samej zasady dokonywał się dobór wszystkich pracowników państwowych. Wyobraźmy sobie taki ustrój. Powstaje instytut psychometryczny, obsługiwany przez specjalistów i zaopatrzony we wszystkie potrzebne przyrządy, w którym każdy kandydat do urzędu — a byłoby pożyteczne, ażeby również każdy poseł — poddany zostaje ścisłemu badaniu co do swoich uzdolnień. Wydany „test" przedstawia on władzy mianującej, która albo mu przyznaje żądaną posadę, albo ofiaruje inną, albo odmawia wszelkiej. Obecnie nominacja odbywa się na mocy świadectwa szkolnego, protekcji zwierzchnika lub partji. Pierwsza z tych kwalifikacyj coś znaczy, ale często jest zawodna, dwie ostatnie są nadżyciem. Dotychczas urzędnikami niższych, wyższych i najwyższych stopni a również prawodawcami mianowani są niekiedy ludzie, którzy zaledwie mogliby dobrze coś przepisywać, furmanić albo paść owce. Chyba nie ulega wątpliwości, że społeczeństwu bardziej zależy na tem, ażeby właściwy człowiek był referentem, naczelnikiem, dyrektorem, ministrem, niż robotnikiem przy warsztacie pilników, śrub lub przędzy. Tu nieodpowiedni może narazić na stratę pojedynczego fabrykanta, tam wyrządza szkodę całemu społeczeństwu. Pomyślmy tylko, ileby ono zyskało, gdyby z naszych ciał administracyjnych i ustawodawczych wyrzucić wszystkich fuszerów i zastąpić ich odpowiednio uzdolnionymi. Rysuje się nam raj w fantazji.

Tak, jest to tylko fantazja, bo ludzie nie wyrzekają się łatwo nawet tych nałogów, które ich zniepprawiają i gubią. Głębokie westchnienie wyrwało się z pod pióra jednemu ze starych pisarzów francuskich: „O, jak piękną protekcją jest mierność!" Pozostanie ona siłą aż do końca widzialnej dla nas rzeczywi-

stości. Ale czy można wymyślić coś skuteczniejszego dla złagodzenia sprawionej przez nią odrazy i bólu, niż utopia?

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

KOŚCIÓŁ, NARÓD I PAŃSTWO

W TYCH dniach ukazał się piąty zeszyt „Wskazań programowych" Obozu Wielkiej Polski. Jest nim „Kościół, naród i państwo" Romana Dmowskiego. Krótkość czasu nie pozwala nam na opracowanie streszczenia, zwięzły zeszyt zawiera zresztą takie bogactwo myśli, że streszczanie ich trzeba uznać za rzecz niewłaściwą. Rozprawę Dmowskiego należy czytać w całości. Na tem miejscu przytoczymy kilka urywków, charakteryzujących bieg myśli autora:

„Narody protestanckie — pisze Dmowski — dosięgły już *apogeum* swej wielkiej karjery dziejowej. Po wojnie światowej widzimy już wyraźnie pierwsze oznaki ich zmierzchu. Dla europejskich źródła jego tkwią w przeobrażaniu się gospodarczem świata, prowadzącem industrjalizm europejski do upadku; dla wszystkich, co ważniejsza, w ich stanie wewnętrznym, w osłabieniu ich życia duchowego, rozkładanego przez wybujały materjalizm, w postawieniu dążenia do wygodnego życia i jego uciech ponad wszystkie aspiracje ludzkie, w uwiądzie protestantyzmu, tracącego resztki religijnego ducha, wreszcie w dojściu masonerji z jej dążeniami do impasu, co musi oznaczać początek jej upadku. To, co w ubiegającym okresie dawało im przewagę nad narodami katolickiemi i było uważane za niewątpliwą ich wyższość, dziś okazuje się źródłem ich nieuleczalnych niedomagań.

Wiek XIX był wiekiem wielkiego ich trjumfu: bankructwo tego wieku, z jego ideami przewodniemi, z jego naczelnemi dążeniami zapowiada się jako ich bankructwo.

Natomiast w narodach katolickich zaczyna się zjawiać nowa wiara w siebie, w swe siły, w swą rolę dziejową, w swe posłannictwo. Najsilniejszy wyraz tej przemiany dają w obecnej chwili Włochy.

Razem z tem rozwija się świadomość, że tę siłę moralną, którą narody katolickie czują w sobie dziś, w tej ciężkiej dla Europy dobie, zawdzięczają one właśnie swemu katolicyzmowi, temu, że mają religję, która nie uległa rozkładowi wewnętrznemu w ciągu ubiegającego okresu, i temu, że nie oddaliły się od podstaw rzymskich, na których nasza cywilizacja jest zbudowana.

Tem się w części tłumaczy zwrot ku religji w ostatnich czasach, zwrot, który widzimy wśród społeczeństw katolickich, bo w protestanckich, wobec rozkładu samej religji nawewnątrz, niema już do czego wracać, o ile, ma sie rozumieć, ludzie nie chcą powrócić do tego, od czego ich ojcowie oderwali się przed czterystu laty, do Kościoła Rzymskiego — co zresztą niektórzy ludzie w tych społeczeństwach już rozumieją.

W miarę jak zmierzch świata protestanckiego będzie postępował, narody katolickie będą coraz lepiej zdawały sobie sprawę z tego, że w upodobnianiu się protestantom, w przejmowaniu ich stosunku do życia tkwi wielkie niebezpieczeństwo. I wtedy szybko pójdzie odrodzenie ducha katolickiego...

...Dążenia polityczne ubiegającego okresu — stwierdza z naciskiem Dmowski — postawiły sobie za cel całkowite... oddzielenie Kościoła od państwa. Cel ten tylko w niektórych krajach został osiągnięty, ale naogół w dzisiejszej dobie stosunek Kościoła i państwa oparty został na wzajemnej nieufności; można powiedzieć, że treścią tego stosunku jest głucha walka z bardzo smutnemi i niebezpiecznemi dla przyszłości narodów wynikami.

Zadaniem okresu, w który wstępujemy, musi być głęboka, zasadnicza zmiana tego stosunku, doprowadzenie do szczerej, przez obie strony należycie rozumianej i cenionej współpracy, koniecznej zarówno dla odrodzenia życia religijnego, jak dla zdrowego rozwoju narodu oraz trwałości i potęgi państwa...

...Państwo polskie jest państwem katolickiem. Nie jest niem tylko dlatego, że ogromna większość jego ludności jest katolicką i nie jest katolickiem w takim czy innym procencie. Z naszego stanowiska jest ono katolickiem w pełni znaczenia tego wyrazu, bo państwo nasze jest państwem narodowem, a naród nasz jest narodem katolickim.

To stanowisko pociąga za sobą poważne konsekwencje. Wynika z niego, że prawa państwowe gwarantują wszystkim wyznaniom swobodę, ale religją panującą, której zasadami kieruje się ustawodawstwo państwa, jest religja katolicka, i Kościół katolicki jest wyrazicielem strony religijnej w funkcjach państwowych.

Mamy w łonie naszego narodu niekatolików, mamy ich wśród najbardziej świadomych i najlepiej spełniających obowiązki polskie członków narodu... Naród polski w znaczeniu ściślejszem, obejmującem świadome swych obowiązków i swej odpowiedzialności żywioły, nie odmawia swoim członkom prawa do wierzenia w co innego, niż wierzą katolicy, do praktykowania innej religji, ale nie przyznaje im prawa do prowadzenia polityki, niezgodnej z charakterem i potrzebami katolickiemi narodu, lub przeciwkatolickiej...

...Polityka narodu katolickiego musi być szczerze katolicką, to znaczy że religja, jej rozwój i siła musi być uważana za cel, że nie można jej używać za środek do innych celów, nic wspólnego z nią nie mających".

W OPARACH KRWI

POWTARZAM tytuł niniejszej uwagi, chociaż mam w rękawie dziesięć innych — własnych, i ściśle adresowanych. Pod tym tytułem na kilka dni przed 1 maja w „Kurjerze Warszawskim" znakomity publicysta p. Adam Grzymała-Siedlecki zamieścił odcinek swój, w którym omawia wywrotową propagandę partyj czerwonych i jej skutki—niebywały wzrost zbrodniczości. Wywody p. Siedleckiego, słuszne, trafne i obywatelskim przesiąknięte duchem, pragnąłbym pod jednym tylko względem uzupełnić.

Owe opary krwi, ta trucizna zaciekłej nienawiści i ślepej zemsty, ta piana wściekłości i wścieklizny, wzniecana zajadle w ciemnych duszach najszerszych warstw ludowych—to wszystko nie jest polskie. Oto, co pragnę przedewszystkiem jasno i mocno ustalić i rozwinąć. Bez tej uwagi fundamentalnej sprawa zawisa w powietrzu, a zatem nie może być ani rozumiana dostatecznie ani rozwiązywana.

Nie polskie są te opary krwi, ale żydowskie. I nie na wojnę światową należy zwalać przyczyny — to już się stało czczym i niedowiedzionym komunałem, lecz trzeba ich poszukać tam, dokąd wszystkie czerwone nici tej skłębionej sprawy wiodą, to jest w czeluściach ghetta światowego — w duszy i w polityce żydowskiej.

W historji, w tradycjach poszczególnych, w psychologji narodu i ludu polskiego, nikt nie odnajdzie ani śladu owych oparów krwi, zemst, nienawiści i wścieklizny. Przeciwnie—każdy badacz dojdzie do wniosku, że lud polski—to lud barani. Z przykrością to stwierdzam, bo chciałbym szczerze odnaleźć w nim choć po jednym na każdej raci pazurze... Niestety—niema.

Natomiast jedno gruntowne studjum starej literatury żydowskiej—tego świadka niepodejrzanego—ukazuje nam ducha żydowskiego, stale miotającego się w konwulsjach zemsty, w krwawych pianach nienawiści, wstrętu i pogardy — do wszystkich i do wszystkiego. A właśnie ten duch w postaci tysięcy teoretyków i propagatorów jest wyłącznym i (zresztą) pradawnym twórcą, wodzem i szerzycielem wszystkich czerwonych socjalizmów, komunizmów i bolszewizmów.

Należy, nadto, zajrzeć do statystyki ruchu rewolucyjnego w Polsce — kto i w ilu procentach stanowi sztab socjalizmów i komunizmów. Należy, wreszcie, nieco uważniejszem okiem spoglądać na mówców wiecowych i agitatorów. Niewiele to nawet trudu wymaga, by odkryć w nich na każdą dziesiątkę ośmiu Żydów, jednego pół-Żyda i jednego (nakoniec) polskiego matołka, dobrze nakręconego. Szeroko w prasie omawiany niedawny skandal na pogrzebie redaktora „Robotnika"—Perla świadczy o tem, że nawet polscy socjaliści znają swoją statystykę rasowo-narodowo-wyznaniową i mocno się jej wstydzą. Perl umarł „pogodzony z Jehową"...

Polska posiada obecnie cztery miljony mieszkańców, rasowo obciążonych wścieklizną nienawiści i zemsty. Bogato pojemny zbiornik oparów krwi! Rozlewa się on nietylko na ciemne rzesze robotników polskich, ale sięga do czar i czarów poezji, co literatura powojenna w jej zasobnym dziale kryptożydowskim w Polsce wymownie potwierdza. Inteligencja polska równie pilnie (tylko innemi metodami) pojona jest i upajana żądzą krwi przez apostołów Syjonu.

Sprawa zdziczenia moralnego w Polsce pokrywa się ze sprawą obecności w niej ludności żydowskiej.

ST. P.

MŁODZI EMERYCI

JEDNYM z ulubionych haseł przewrotu, który przed rokiem wstrząsnął Polską, była „walka z partyjnictwem", natomiast jednym ze znamiennych czynów rządów „pomajowych" jest obsadzanie wszelkich stanowisk wojskowych i cywilnych „swymi ludźmi". Dla zrobienia im miejsca usuwa się ludzi, których obrzuca się błotem w prasie sanacyjnej, ale którym nic właściwie zarzucić nie można, nawet ludzi, których urzędowo osypuje się najwyższemi pochwałami. Dość tu przypomnieć mowy obecnych wojewodów: pomorskiego, p. Młodzianowskiego i lubelskiego p. Remiszewskiego przy obejmowaniu nowych stanowisk. Obydwaj podkreślili, jakie trudne mają zadanie, by sprostać swoim poprzednikom.

W rezultacie mamy obecnie całe zastępy „młodych emerytów", ludzi usuniętych ze stanowisk w pełni sił. Niejednokrotnie mówiono i pisano o tem, jaką szkodę dla należytego funkcjonowania maszyny państwowej stanowi usuwanie ludzi, którzy zdobyli już sobie fachową wiedzę i nabyli koniecznej rutyny. Słowom tym przeciwstawiano pochwały dyletantyzmu, osławioną radość tworzenia. Niejednokrotnie wskazywano też na kosztowność dla skarbu państwa tych przedwczesnych emerytur. Podnoszono też moralną krzywdę ludzi, których raptem pozbawiono pracy, w której się już wprawili i która dawała im nietylko zaspokojenie potrzeb, ale i zadowolenie moralne.

Czas jednak zastanowić się poważnie nad tem, jak z największą dla społeczeństwa korzyścią zużytkować siły wszystkich tych młodych emerytów. Niejeden z nich zajmuje już dziś wybitne stanowisko w życiu gospodarczem, wielu jednak szuka dopiero zajęcia, któreby im dało nie tylko zarobek, mniej z powodu emerytury konieczny, ale i zadowolenie moralne. I tu właśnie nasuwa się myśl powołania ich do czynnego udziału w rozmaitych organizacjach społecznych.

Wiele się mówi obecnie o konieczności „organizowania narodu". W tej pracy, jakże pożytecznymi być mogą ludzie, którzy na swych stanowiskach urzędowych posiedli umiejętność organizowania pracy i ludzi. Ileż sił potrzeba, by wszystkie te powstające ostatniemi czasy Ligi, Straże i t. p. rozwijały sie należycie i objęły całe terytorjum państwa, ileż to wielce pożytecznych towarzystw spółdzielczych, oświatowych, lub artystycznych nie rozwija się należycie dlatego tylko, że niema śród nich ludzi, którzy mogliby poświęcić im więcej czasu.

Na wszystkie te posterunki skierujmy młodych emerytów, a zapewnimy jednocześnie im zadowolenie moralne, społeczeństwu zaś korzyści realne. W Małopolce przed wojną spotykaliśmy niemało nieprzedwczesnych nawet emerytów, którzy siły swe z wielkim pożytkiem poświęcali takim instytucjom, jak kółka rolnicze, Sokoły, Tow. szkoły ludowej i t. p. Tak byćby powinno w całej Polsce.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Rocznica. — Lista № 12. — O zwołanie Sejmu. — Międzynarodowa Konferencja Gospodarcza. — Hergt i Stresemann.

ROK minął od chwili opanowania z bronią w ręku Warszawy i ustalenia się obecnego systemu rządów w Rzeczypospolitej. Rok bogaty w nauki i doświadczenia. Dla niejednego szczerze Polskę kochającego człowieka rok ten przyniósł szereg bolesnych zawodów, tragicznych rozczarowań. Wiele haseł, niegdyś wywołujących entuzjazm, zbladło, wiele spraw, tak niedawno podniecających tłumy, coraz bardziej pokrywa niepamięć.

Jedna rzecz pozostała żywa i nieśmiertelna: bohaterstwo wiernych przysiędze żołnierzy. Krew przelana wtedy przez Podchorążych nie była daremna. Wszystko to, co w Polsce młode, zdrowe, pokolenie, które krzepnie i nabiera poczucia swej siły, za drogowskaz ma dziś honor żołnierski i nienaruszalność prawa. Tylko na tych podstawach oparte, Państwo Polskie będzie państwem wielkiego Narodu. A tej woli, aby być narodem wielkim, Naród Polski nigdy się nie wyrzeknie.

*

W życiu wewnętrznem kraju na czoło spraw wysuwają się wybory do Rad Miejskich, ostatnio w większej liczbie przez władze administracyjne rozwiązywanych. Na dzień 22 maja wyznaczone są wybory do Rady Miejskiej w Warszawie. Żywioły narodowe skupiły się w Gospodarczym Komitecie Obrony Polskości Warszawy i wystawiły wspólną listę kandydatów, oznaczoną jako „lista № 12". Na liście tej pomieszczono szereg jednostek wybitnych, zasłużonych, pod każdym względem zdolnych do ujęcia w swe ręce zarządu stolicy. Zwycięstwo „listy № 12" przy wyborach uchroni miasto od niebezpiecznych eksperymentów dema-

gogji, zapewnić mu rozwój zgodny z narodowemi tradycjami Warszawy i potrzebami jej ludności.

Coraz bardziej niepokojące stają się długie wakacje Sejmu, zwłaszcza skoro się zważy, iż kadencja Izb prawodawczych dobiega końca, zaś najważniejsza sprawa zmiany ordynacji wyborczej dotąd jeszcze nie jest wcale załatwiona. Słusznie bardzo niektóre stronnictwa, jak Związek Ludowo-Narodowy i Chrześcijańska Demokracja, uchwalają specjalne rezolucje, domagając się natychmiastowego zwołania sesji sejmowej. Trzeba wreszcie jasno stwierdzić i ustalić, kto istotnie pragnie zmiany ordynacji wyborczej, a więc naprawy Sejmu, kto zaś hasłem „antysejmowem" posługiwał się tylko dla zdobycia popularności, a naprawdę chce, by wszystko pozostało „po staremu".

W polityce zagranicznej dni najbliższe nie zapowiadają donioślejszych wydarzeń. Z wielkim hałasem reklamowana i rozpoczęta Międzynarodowa Konferencja Gospodarcza w Genewie, jak się zdaje, nie pochlubi się wielkiemi wynikami: nigdy bardziej nie ujawnia się pustka wewnętrzna liberalno-międzynarodowej frazeologji, jak właśnie wówczas, kiedy ma być ona zastosowana przy regulowaniu realnych, gospodarczych interesów. Słusznie pisał Dmowski w pierwszym zeszycie „Wskazań programowych" Obozu Wielkiej Polski: „Wiele się dziś mówi o ludzkości... o solidarności między narodami... jedna wszakże pozostaje dziedzina, w której o solidarności, o wzajemnej pomocy narodów niema mowy: to dziedzina walki gospodarczej, wyzysku jednego narodu przez drugi".

Frazeologją pacyfistyczno-międzynarodową posługuje się chętnie niemiecki minister spraw zagranicznych Stresemann, domagając się wcześniejszego opuszczznia przez wojska francuskie okupowanych części Nadrenji. Nie używał tych frazesów, bo nie miał potrzeby, wicekanclerz Hergt, wygłaszając niedawno swą zaborczą, antypolską mowę w Bytomiu. Niesłusznie jednak nasze agencje telegraficzne i niektóre organy prasy rozpisują się o wynikłej stąd walce między Hergtem i Stresemannem, grożącej jakoby nawet rozbiciem się obecnej koalicji rządowej w Niemczech i przesileniem gabinetowem. Koalicja rządowa w Niemczech trzyma się jakoś, a w każdym razie nie rozleci się z powodu różnicy zdań w kwestji polskiej, bo w tej sprawie cała opinja niemiecka, bez względu na różnice partyjne, jest zupełnie zdecydowana i jednolita. Komu u nas może zależeć na tem, aby obraz tej rzeczywistości zamazywać, aby budzić w opinji polskiej przekonanie, że wrogami naszymi są w Niemczech jedynie „nacjonaliści", inni zaś, jak n. p. minister spraw zagranicznych Stresemann, polityce tej są niechętni, nawet ją zwalczają? Komu może zależeć na uśpieniu naszej czujności?

J. R.

NAUKA I LITERATURA

POLSKA W CZASIE WIELKIEJ WOJNY

MARJAN Seyda ogłosił pierwszy tom ogromnej pracy (pierwszy tom zawiera stron 664) o Polsce podczas wielkiej wojny*). Tom pierwszy doprowadzony jest do wybuchu rewolucji w Rosji i wzięcia udziału w wojnie Stanów Zjednoczonych. Tom drugi ma być poświęcony latom następnym, a głównie działalności Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu.

Powiedzmy odrazu, że ani zwolennicy ani przeciwnicy polityczni Seydy i stronnictwa do którego należy, ani nikt, kto poważnie myśli o tem, co już jest historją i o tem, co jeszcze z tej historji wyrasta, nikt, kto poważnie zastanawia się nad polską polityką zagraniczną, książki tej zignorować i nie poznać się z nią nie może.

Przemawia w niej o tyle polityk o ile historyk. Polityk, kierujący się ideą realnego, aż do brutalności realnego patrjotyzmu, wróg intelektualny tego wszystkiego, co w polityce romantyzmem nazywa, a intelektualny i duchowy tego wszystkiego, co lojalizmem mieni, nieodstępujący ani na krok od tezy głównego niebezpieczeństwa niemieckiego, nie mający innej przed oczami racji, jak polska racja stanu. Historyk oparty o ogrom źródeł, z których z fachową kompetencją czerpie, a poniekąd pamiętnikarz. „Stałem, pisze w przedmowie, przez dwa i pół lata w Lozannie, a następnie przez dwa lata w Paryżu, w środowisku polskich zabiegów i wysiłków politycznych, łączących los sprawy polskiej z losem mocarstw sprzymierzonych, przyczem miałem zarazem polecone przez towarzyszów pracy nie tylko szczegółowe śledzenie wypadków w kraju na podstawie wiadomości prasowych, ale ponadto i przedewszystkiem utrzymanie stałej, żywej z krajem łączności za pośrednictwem tajnych jego emisarjuszów".

Sprawa polska przedstawiona jest i wytłumaczona na szerokiem tle interesów europejskich i splotu dyplomatycznych umów, z wnikliwością polityka zawodowego, człowieka, który gołą ręką rzeczy tych się dotykał; chwytane są na gorącym uczynku podstępy niemieckie i rosyjskie szantaże.

„Jakiekolwiek były w kwestji polskiej motywy i przesłanki polityki trzech państw rozbiorowych, jakiekolwiek były ich plany i zamiary, wszystkie trzy schodziły się w jednym punkcie, w dążeniu do zmniejszenia polskiego obszaru narodowego. Rosja zmierzała tą drogą do „odszkodowania" za ewentualne rozluźnienie się, czy pęknięcie węzłów prawno-państwowych, łączących z nią Królestwo Polskie, Austro-Węgry do zrealizowania swych ukraińskich ambicyj dynastycznych i państwowych, Niemcy do stopniowego zniszczenia narodu polskiego i ostatecznego zlikwidowania sprawy polskiej." (str. 28),

Zacytowałem to zdanie jako zasadnicze, jako znajdujące się u podstawy długiego i gruntownego wywodu o tej polityce polskiej, która nie uznawała kompromisu (aczkolwiek, co na jej dobro zapisać wypada, odważnie w Paryżu inaczej orjentujących się broniła) z państwami centralnemi. Wolno z tą polityką zgadzać się lub nie zgadzać, według przekonania swego i sumienia, ale po książce Seydy wolno nazwać każdego niezasługującym na dyskusję ignorantem, któryby polityków tych nazywał „rusofilami" i „przeciwnikami polskiej niepodległości".

Dmowski w Paryżu na odczycie 7 stycznia 1918 r. powiedział: „Czy można dziwić się, iż część Polaków była przekonana, że Polska po tej wojnie znajdzie się pod panowaniem niemieckiem i że ich obowiązek narodowy polega na poszukiwaniu kompromisu z Niemcami, aby zmniejszyć nieszczęście i zapewnić, o ile to możliwe, warunki przyszłego narodowego bytu?" „Pamiętają wszystkie doświadczenia, przez które kraj ich przeszedł, zgroza ich przejmuje na wspomnienia wszystkich daremnych wysiłków, których tyle było w polskich dziejach, znajdują się wreszcie pod wrażeniem niemieckiej potęgi. Niesprawiedliwem by więc było uważać ich za germanofilów. Germanofilów niema w Polsce". (*Le problème des nationalités* str. 17—18).

Warto przypomnieć ten odczyt.

Nikt też, o ile mi się zdaje, nie wyraził i nie udowodnił tego tak, jak Seyda, że Polska w wielkiej wojnie

---

*) Marjan Seyda: „Polska na przełomie dziejów. Fakty i dokumenty. Od wybuchu wojny do zbrojnego wystąpienia Stanów Zjednoczonych". Nakład księgarni Ś-go Wojciecha, Poznań 1927.

odegrała rolę czynną, że przyczyniła się w pewnej mierze do ogólnego tej wojny wyniku, że więc nietylko my możemy czuć się zobowiązani względem Ententy, ale i Ententa względem nas.

Dlatego kapitalną tę książkę przeczytać winni nietylko politycy i historycy, ale także dyplomaci i nasi zagraniczni przedstawiciele.

STANISŁAW SZPOTAŃSKI

HELLENIZM I JUDAIZM

AŻEBY zrozumieć i ocenić dzieła prof. T. Zielińskiego w kulturze starożytnej i ostatnią jego pracę „Hellenizm i judaizm" (Mortkowicz, Warszawa 1927), trzeba wyobrazić sobie umysł fenomenalny — obdarzony ogromną wiedzą, zdumiewającą pamięcią i zdolnością kombinacyjną. Badacz ten poznał całą literaturę starożytną, wszystkie odnoszące się do niej późniejsze komentarze, rozwinięcia i dopełnienia, całą tę olbrzymią bibljotekę przeniósł do swej głowy nie w streszczeniu lub wyciągach, ale w całkowitych tekstach. Nieściśle wyrazimy się, mówiąc, że tę literaturę zna, on ją tak szczegółowo i dokładnie umie na pamięć, że tam nie brak ani jednego wyrażenia, ani jednego słowa. Przytacza, zestawia i wiąże zdania ze źródeł greckich, łacińskich, żydowskich tak łatwo i biegle jak gdyby je miał przed oczami. Zdaje się, że on nie przypomina sobie, nie powtarza notatek, ale wyjmuje i łączy z pamięci takie drobiazgi, które mogłyby się wymknąć uwadze nawet przy starannem czytaniu odnośnych pism i druków. To też bardzo często wydobyte z nich słowa stają się w jego analizie Cuvierowskiemi zębami kopalnych zwierząt, odtworzonych w całości z zachowanej ich resztki. Jego wykład — to niezwykła mozajka z małych okruchów, dla interesujących się przedmiotem niezmiernie ciekawa i cenna, dla zwyczajnego czytelnika, który wymaga stopienia materjału dowodowego w uogólnione odlewy wiedzy — bardzo nużąca. Chociaż autor zdradza, a nawet szczerze wyznaje swoje umiłowanie hellenizmu, chociaż ze wstrętem mówi o niektórych rysach religji żydowskiej, n. p. o barbarzyńskiem obrzezaniu lub o srogości Jehowy, zastrzega się stanowczo przeciwko posądzeniu o upodobania wyznaniowe. Wszelkie kulty religijne traktuje jako przedmioty naukowego badania a nie uczuciowego wyboru.

Mozajkowy sposób wykładu uniemożliwia jego streszczenie. Dwie są główne tezy, które prof. Z. uzasadnia całą masą swej ogromnej erudycji. Pierwsza—że kulty starożytne, a zwłaszcza górujący nad innemi helleński, to nie były bajki, zboczenia myśli i rojenia fantazji, nie błędy i obłędy, ale rzeczywiste religje. Druga— że Starym Testamentem chrystjanizmu nie były święte księgi żydowskie, lecz teogonja grecka. „Chrześcijaństwo—twierdzi autor—wyłoniło się z judaizmu—to się często mówi i pisze, ale pomimo to, jest to fałsz. Faktem jest jedynie, że pierwszymi uczniami Chrystusa byli ci, co przedtem i jednocześnie wyznawali zakon Jehowy. Natomiast niezaprzeczalnym faktem jest, że zakon Chrystusa, odrzucony przez judaizm, został przejęty przez hellenizm, to jest przez duszę helleńską i shellenizowaną Wschodu i Zachodu. Nie było ciągłości psychologicznej między judaizmem a chrześcijaństwem, natomiast taka ciągłość istniała między hellenizmem z jednej strony, a chrześcijaństwem z drugiej. To znaczy, że religja Hellenów lepiej przystosowywała umysły do przyjęcia chrześcijaństwa, niż judaizm. Stąd mój paradoks, kilkakrotnie już wygłoszony, że prawdziwym Starym Zakonem naszego chrześcijaństwa jest religja Hellenów." Ten paradoks wymknął się dawniej z pod pióra Heinego, który wszystkich ludzi podzielił na dwa odłamy — Greków i Żydów. My usunęlibyśmy z niego bezwzględność i wyrazili go w twierdzeniu, że chrystjanizm jest szlachetną rośliną judejską zaszczepioną na pniu helleńskim, który jak wszelka podkładka, oddziałał na szczepionkę.

Na pierwszej stronicy swego dzieła autor umieścił sześć „pewników", na których osnuwają się wszystkie jego wywody. Pierwszy: „Badania naukowe nad pochodzeniem religji tak samo, jak badania nad pochodzeniem życia, są zgóry skazane na jałowość". Sądzimy, że jałowość w tym wypadku jest mniejsza, niż w wielu innych. Drugi: „Jak nie może zrozumieć sztuki antycznej człowiek, pozbawiony poczucia artystycznego, tak samo nie zrozumie antycznej religji ten, komu brak uczucia religijnego." Twierdzenie wątpliwe. Ludziom, obdarzonym uczuciem religijnem, najtrudniej zrozumieć inną religję. Trzeci: „Zapal w sercu swojem jasną pochodnię uczucia religijnego, ale zostaw w domu mdły kaganek wyznaniowości, jeśli chcesz, żeby świątynia religji antycznej tobie pokazała swoje cuda." Rada do wykonania trudna, albo nawet niemożliwa. W duszach ludzkich bowiem pali się tylko jeden ogień religijności, który nie da się rozdzielić na dwa. „Uczucie religijne" bezwyznaniowe jest poprostu zdolnością rozumienia we wszelkich odmianach tego zjawiska, które nazywa się religją.

Dlatego tylko, że prof. Zieliński od niedawna pisuje po polsku i że jego dzieła leżą poza sferą zainteresowań ogółu, potrzebujemy dodać, że są to prace pierwszorzędnej wartości, a ich autor jest badaczem wysokiej miary, widzialnym i cenionym przez cały świat naukowy.

A. Ś.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Adolf Nowaczyński wykończył właśnie komedję wierszem p. t. „Warchoł i Miroluba". Rzecz utrzymana w stylu antycznym, świadomie nawiązuje do Arystofanesowskich „Rycerzy", „Babiego Koła" i „Gromiwoji". Mając sposobność czytanie dzieła w rękopisie, podziwialiśmy nietylko jędrny, jak zawsze, pogodny humor autora, ale i mistrzowstwo wersyfikacji, nie ustępujące w niczem najwytworniejszym „Meandrom" Nowaczyńskiego z lat przedwojennych.

Fragment „Warchoła i Miroluby" ogłosimy w najbliższym numerze.

*

W ostatnich czasach zawiązało się w Warszawie zrzeszenie literatów pod nazwą „Nowa Polska". Jak dowiadujemy się, powstało ono z łącznej inicjatywy kilku pisarzy starszych i przedstawicieli stow. „Polska młodych", jednoczącego przeważnie literatów młodych.

„Nowa Polska" liczy dziś członków 20. Spotykamy wśród nich nazwiska: J. Birkenmajera, A. Czaplickiego, Artura Chojeckiego, St. Górzyńskiego, R. Krajewskiego, L. Konopackiego, W. Łaszczyńskiego, J. Niwińskiego, L. Nowosielskiego, Grz. Piotrowskiego, J. Relidzyńskiego, Miecz. Smolarskiego, J. Sokolicz-Wroczyńskiego i in. Na pierwszem ogólnem zebraniu prócz ustalenia zasadniczego programu, którego jednym z punktów jest dążenie do literatury, odpowiadajacej godności Polski Odrodzonej, uchwalono wysłanie życzeń do Al. Świętochowskiego z powodu otrzymania przezeń nagrody m. Łodzi, posłanie pozdrowień „Czartakowi" w Krakowie i K. H. Rostworowskiemu.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem ruchliwej księgarni Hoesicka wyszła nowa prześliczna książka Wandy Miłaszewskiej. Nie jest to tym razem opasły tom powieściowy, do jakich przyzwyczaiła swoich czytelników autorka „Złotego Włosa" i „Cmentarza i sadu" lecz cieniutki kalendarzyk poetycki p. t. „Rok Boży", zawierający dwanaście miniaturowych poemacików o dwunastu miesiącach.

Każdy z tych poemacików mieni się tęczowemi barwami jak prześwietlona słońcem kropelka rosy. Każdy jak kropla rosy odzwierciadla całe horyzonty — wszystkie przepychy przyrody

na niebie i ziemi. Każdy jest cenną perełką poezji prawdziwej najprzedniejszego gatunku.

Oto przykład:

MAJ

Idą do ślubu czereśnie
Wszystkie kwitnące, w bieli —
Ziemia im cicho pod stopy
Wzorzysty dywan ścieli — —

Stłoczone w świątyni sadu
Gawędzą jabłonki-druchny,
Wszystkie w odświętnych sukienkacn
Różowych, jak obłoch leciuchny...

Wiatr wpada między gałązki,
Swawoli, ku sobie schyla
Na kwiatach kładzie całunki
Lekkie, jak skrzydła motyla

Wracają czereśnie ze ślubu,
Głowy im ciężą od wianka...
...Nocą go wietrzyk rozsypie
Na łono Ziemi-kochanka.

*

Mieczysław Smolarski, poświęcający w ostatnich czasach swoje pióro powieści raczej, niż poezji, od której poczynał karjerę pisarską, wydał teraz zbiorek poezyj p.t. „Z wielkiego miasta". Wiersze Smolarskiego mają wiele wdzięku i sentymentu. Pisane od ręki nie kuszą się o rozwiązywanie zagadnień artystycznych w formie, ani też poetyckich w treści. „Życia barwny, wielkomiejski szmat" zakwita wśród prozy dziennikarskiej kwieciem poezji. Trochę słońca odbitego od szyb, trochę melancholji, sporo taneczności, wiele erotyki — oto ogródek Smolarskiego. Niektóre kwiatki, jak kuplety o schadzce żony (str. 50), należałoby przesadzić.

*

Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszła książka znanego publicysty, poety i krytyka Zdzisława Dębickiego p.t. „Portrety", zawierająca 16 sylwetek współczesnych pisarzy polskich. W galerji tej przesuwają się przed nami: Świętochowski, Weyssenhoff, Sieroszewski, Berent, Kasprowicz, Tetmajer, Staff, Oppman, Gałecki, (Strug), Nowaczyński, Rodziewiczówna, Bartkiewicz, Przesmycki, Lange, Lemański. Na każdą z tych postaci przypada przeciętnie 20 stronic, nie możemy też oczekiwać studjów. Są to szkice, dające ogólne pojęcie o plonie literackim tych pisarzy, ich zasługach i wartości pism. Oprócz Kasprowicza wszyscy ci pisarze żyją, wszystkich autor zna osobiście i z dzieł, jak się ukazywały, jako redaktor „Tygodnika Ilustr.", oraz długoletni referent literacki „Kurjera Warszawskiego". Charakterystyki Dębickiego mają wartość dokumentu, jak w jego czasie Warszawa literacka szacowała koryfeuszów piśmiennictwa. Jest wiernym tej opinji wyrazicielem, spokojnym w entuzjazmie, ale za to dla wszystkich równie życzliwym. Dębicki jako krytyk jest ostrożny i dróg talentowi nie przepowiada. Tutaj jednak drogi wszystkich 16 dobiegają mety i są już wymierzone. To też z właściwa sobie wprawą uwydatnia walory według opinij ustalonych. Umiejętne zebranie w krótką całość faktów i ocen zapewnia książce wartość, jako pożytecznej informatorce. Taki charakter nadaje książce cel, dla którego charakterystyki powstały. Autor wygłaszał je w krótkich wykładach przez radjo warszawskie. Wiele osób je nabędzie, żeby mieć komplet hallo-odczytów Dębickiego. Naszem zdaniem powinny być wydane trochę inaczej: z wizerunkami osób i uzupełnieniami informacyjnemi w przypisach.

*

Ze studjów krytycznych w zakresie historji literatury polskiej zanotować należy pracę Z. Falkowskiego o Wład. Reymoncie w „Przeglądzie Powsz.". (stycz. — luty r. b.). — Zygm. Szweykowski wydał u Gebethnera i Wolffa dzieło o „Lalce" Prusa. — Bohdan Suchodolski, jak nam donoszą, ukończył już druk I tomu monografji o Sew. Goszczyńskim.

*

Prof. Al. Brückner w „Ruchu Literackim" (kwiecień) z uznaniem pisze o wydanym przez St. Kossowskiego I tomie „Historji literatury polskiej" R. Pilata. Tom ten obejmuje wieki średnie. Brückner uważa to wydanie za najlepsze i najobszerniejsze z dotychczasowych opracowań średniowiecznej umysłowości polskiej.

*

Jako odbitka z „Uranji" ukazały się Hoene-Wrońskiego „Zapiski o aberacji gwiazd niestałych" Przełożył z francuskiego Paulin Chomicz. Dziełko to należy do najwcześniejszych prac naszego filozofa i pochodzi z okresu, kiedy Hoene-Wroński pisał swe uwagi nad Traktatem o astronomji. Lalande'a, tak wysoko cenione przez tego ostatniego i pracował jako astronom w obserwatorjum w Marsylji. Redakcja kwartalnika astronomicznego „Uranja" przez ogłoszenie tego dziełka pragnie złożyć hołd pamięci myśliciela i matematyka. Zapiski te tłumacz uzupełnił przekładem Suplementu z rękopisu, znajdującego się przy egzemplarzu dziełka bibjoteki Instytutu Mesjanicznego im. H.-Wrońskiego.

*

Ukazał się nowy zeszyt „Kwartalnika instytutu naukowego do badań emigracji i kolonizacji", wydawanego pod redakcją dr. Gustawa Załęckiego. Obszerny tom liczący 214 stronic, zawiera szereg interesujących, starannie opracowanych rozpraw, między innemi „Wychodźtwo a opieka konsularna" W. Babińskiego, „Rumunja jako teren emigracyjny" L. Kulczyckiego oraz „Migracja jako czynnik światowego rozwoju gospodarczego" inż. F. Gadomskiego. Niezwykle cenne są artykuły nadesłane z zagranicy. Na uwagę zasługuje zwłaszcza praca senatora de Michellsa, komisarza generalnego dla spraw emigracji we Włoszech, o „Włoskiej polityce emigracyjnej", której program streszczają zacytowane przez autora słowa Mussoliniego: „Postawić—zgodnie z dawną, lecz żyjącą tradycją kolonizacyjną — na miejsce emigracji chaotycznej, emigrację ludzi dumnych z siły użyźniającej własnej pracy, wspomagać tych skromnych i dzielnych pionierów włoskich współpracą techników włoskich i kapitałami włoskiemi, czerpanemi częściowo z oszczędności samych emigrantów; dążyć do tego, aby owoce pracy włoskiej nie przyczyniały się do wzbogacenia cudzoziemców, lecz aby stały się siłą rozpędową pokojowej ekspansji moralnej i gospodarczej Ojczyzny, a zarazem, aby oszczędności te były najzupełniej zabezpieczone". Interesujący jest też artykuł znakomitego specjalisty, profesora uniwersytetu w Gandawie p. Louis Varler o stosunku Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie do zagadnień emigracyjnych.

*

Książka d-ra Michała Sopoćko „Rodzina w prawodawstwie na ziemiach polskich" stanowi studjum etyczno-prawne, opracowane nadzwyczaj gruntownie. W sposób rzeczowy i wyczerpujący przedstawia instytucję rodziny w dawnem prawie polskim. w Koronie i w prowincjach polskich na Rusi, Litwie i w Prusiech. Następnie charakteryzuje ustawodawstwo, dotyczące praw, obowiązków i stosunków majątkowych małżonków w ustawodawstwie rosyjskiem, austrjackiem, niemieckiem, Królestwa Polskiego i według teologji moralnej. Poczem przedstawia prawne stosunki między rodzicami i dziećmi, wpływ rozwodów na stosunek do dzieci prawych i dzieci nieślubnych, i t. d. Książka, prócz użytku pedagogicznego, może mieć szerokie znaczenie społeczne. Czystość etyki autora i szlachetny ton dzieła, obok rzeczowego traktowania przedmiotu, na tle rozległej perspektywy dziejowej, nadają jej wartość nieprzemijającą. Ustawodawstwo polskie było zawsze czynnikiem prawa i ładu, a w prowincjach ruskich także twórczym czynnikiem cywilizacyjnym. „O obchodzeniu się z dziećmi" (w ziemiach ruskich)—czytamy w książce Dr. Sopoćki „powziąć można wyobrażenie z opowiadania Daniły Wygnańca, według którego dzieci zabijano, wyrzucano lub sprzedawano jak bydło". Dopiero „Król Kazimierz Jagiellończyk potwierdził zrównanie praw Rusi z prawami polskiemi a zatem zespolił ustrój rodziny".

*

Autor książki „Suwalszczyzna i okolice nadniemeńskie", p. Wacław Swiątkowski w świeżo wydanej pracy „W dorzeczu Narwi" opisuje ziemię łomżyńską i sąsiednie powiaty na południu i zachodzie. W drobnej swej książce daje treściwie naukowy materjał geograficzny, ludoznawczy, ekonomiczny i historyczny. Łatwość i bezpośredniość stylu, piękne zdjęcia fotograficzne okolic, jak też i cytaty poezyj, opiewających miejscowości nad Narwią, zachęcają do zwiedzenia tej ziemi. Niestety, miasteczka, założone niegdyś przez królów i magnatów polskich, dziś przedstawiają obraz zażydzenia, nędzy i upadku. „Nędznie przedstawiają się" pisze autor „podupadłe bardzo Stawiski, zamieszkałe przeważnie przez Żydów. Nieliczna ludność polska zżydziała zupełnie, każdy zna żargon i w nim porozumiewa się z Żydami".

*

W świeżo wydanym 75-ym tomie Rocznika szlachty francuskiej („*Annuaire de la noblesse de France*" 1925. Paris: Champion) ogłasza młody heraldyk p. Jan Maleszewski artykuł p. t. „Rodziny Francuskie w Polsce". Chronologiczny wykaz tych rodzin, zestawiony w sposób szczegółowy a przejrzysty, jest ciekawą ilustracją napływu Francuzów do Polski. O ile za ostatnich Jagiellonów przybywali Włosi, przeważnie artyści, to za Wazów, za panowania Władysława IV i Jana Kazimierza, a później za Jana III Sobieskiego, żony tych królów, francuzki z pochodzenia, sprowadzały z sobą francuzów, dworaków. Za Stanisława Augusta kilkunastu Francuzów zajmowało w Polsce wybitne stanowiska w nauce i polityce. Po wyprawie Napoleona przez ziemie polskie, osiadło u nas na stałe wielu Francuzów, wojskowych.

Podjęta przez p. Maleszewskiego praca jest do nauki o dawnej Polsce nowym i cennym przyczynkiem.

U SŁOWIAN

Jerzy Wolker, przedwcześnie zmarły poeta czeski (1900—1924) zdobył sobie dwoma tomikami wierszy naczelne miejsce we współczesnej twórczości literackiej w Czechosłowacji. W utworach jego przebija niezwykle oryginalny stosunek do Boga, życia i człowieka, owiany słowiańskim sentymentem i dziwną pokorą i prostotą.

Pierwszy tomik jego poezyj „Gość w domu", z którego kilka wyjątków dziś podajemy, ukaże się w polskim przekładzie Kazimiery i Stanisława Albertich, jako 5 tom „Bibljoteki Słowiańskiej".

*

Wychodzący w Pradze doskonały miesięcznik polityczny *„Zahranicni Politika"* w ostatnim (3) numerze za marzec przynosi m. in. artykuł znanego polonofila Václava Dreslera p. t. „Siódme mocarstwo w Polsce — obecny stan prasy polskiej". W artykule tym pisze autor o bliskich stosunkach między polskimi dziennikarzami i literatami, daje historyczny rys rozwoju prasy polskiej w czasie zaborów i wojny światowej i kreśli obraz jej obecnego stanu, stwierdzając przytem powolne wzrastanie czytelnictwa dzienników, w związku z pewnem kulturalnem zacofaniem pod tym względem mas ludowych oraz ze zbytniem rozszczepieniem partyjnem, konkludując, że Polacy jeszcze należycie znaczenia prasy nie oceniają. Niektóre twierdzenia Dreslera są istotnie słuszne.

*

Godne uwagi dzieło wyszło z końcem r. 1926 w Białogrodzie (wyd. „Vreme"), napisane przez ówczesnego jugosłowiańskiego ministra spraw zagr. Dr. M. Nincića: *„Spolna politika Kraljevine SHS u l. 1925—26"* (Polityka zagraniczna Królestwa SHS w latach 1925—26). Są to zebrane łącznie teksty przemówień Nincića w okresie jego dwuletniego urzędowania, jakie wygłaszał w skupsztinie, bądź jako *exposé*, bądź w odpowiedziach na interpelacje. Interesujące *exposé* mówi o silnych związkach Król. SHS z Czechosłowacją i Rumunją, oraz o uznaniu ministra dla Ligi Narodów. Nincić prowadził politykę wybitnie pokojową i starał się utrzymać dobre stosunki ze wszystkimi sąsiadami, także i z Włochami. Wspomnieć należy, że był on przewodniczącym jesiennego zgromadzenia L. N. O Polsce interesujących szczegółów tam niema, oficjalne wyrazy sympatji z powodu zawarcia traktatu przyjaźni.

*

O pracy Jugosłowian w czasie wojny światowej nad zjednoczeniem swych ziem w niepodległe państwo, mówi b. interesująca praca Nikole Stojanovića p. t. *„Jugoslovenski Odbor clanci i dokumenti"* (Wydział Jugosłowiański — studja i dokumenty, Zagreb, „Nowa Europa" 1927). Autor sam członek Wydziału Jugosł., oficjalnej reprezentacji niepodległościowych i zjednoczeniowych dążności Jugosłowian wobec rządów zachodnich w czasie wojny, umie dać rzeczowe i jasne przedstawienie wydarzeń. Z książki tej, istotnie cennej dla historji politycznej słowiańskiej, odnosi się wrażenie, że Jugosłowianie umieją należycie ocenić zdobyte wśród tylu walk zjednoczenie. Jedynym dysonansem w tej pracy jest pewne atakowanie Pasića, którego posądza autor o wielkoserbski egoizm. Jednak dzisiejsze królestwo SHS jest w każdym wypadku zbudowane w znacznej części zasługą Pasića i bohaterstwem żołnierza serbskiego.

*

Podwójny numer kwietniowy (7 — 8) wartościowego dwutygodnika chorwackiego *„Vijenac"* (r. VII), wychodzącego w Zagrzebiu, przynosi szereg zajmujących artykułów oraz utworów literackich. Godny jest uwagi między innemi artykuł Gj. Dimovića „Nowa orjentacja dramatyczna" i szkic o B. Shaw'ie przez J. Kulundzića. O poecie rosyjskim A. Błoku pisze J. Badalić. Są dwie nowele (A. Cesarac i S. Tomasić) poezje: Vl. Nazora, Dr. Domjanića, N. Polića i in. jest i kilka przykładów (z rosyjskiego — Błok, niemieckiego — Rilke i chińskiego). Bardzo zajmujący jest dział artystyczny, malarstwo i muzyka, a cenne krytyki literackie i naukowe dopełniają numeru. *„Vijenac"* (= pol. „Wieniec") świadczy, że i dziś, jak dawniej, Chorwaci w kulturze duchowej przodują Jugosławji.

*

Najnowszy numer zagrzebskiego dwutygodnika politycznego *„Nova Evropa"* z dnia 11 kwietnia poświęcony jest w całości kwestjom oświatowym Królestwa SHS. Są tam następujące artykuły: Nasz polityka oświatowa (M. Grol) — Reogarnizacja szkolnictwa (M. Ebrić) — Obecna szkoła — pozostałość średniowiecza (A. Grombah) — O czytaniu w szkole (E. Jelacić) — Przygotowywanie naszej młodzieży do życia i pracy (S. Popović)— Jeden encyklopedysta narodowy XX wieku (I.)—Nasz d'Alambert przed sądem (M. Curcin)—Bogaty w treść numer ten przeświadcza, że kwestje szkolnictwa u naszych południowych pobratymców spotykają się z wzrastającem zainteresowaniem.

*

W Jugosławji wydawany jest specjalny, morzu poświęcony miesięcznik *„Jadranska Straza"* (Straż Adrjatycka) Numer kwietniowy przynosi szereg interesujacych artykułów, jak: Problem rozbrojenia morskiego (F. Z.) — Ochrona życia ludzkiego na morzu (A. Verona) — Marynarka polska (E. Sidorov) — Morze jako kolebka życia (S. Stanković) — Nasza żegluga zamorska (J. Belin) — Komory handlowe i flota (S. A.) — Morska ekspansja Japonji (M. Stefanović) — Morze przyszłości (I. Rubić); nadto dział beletrystyczny i gospodarczy. Pismo *„Jadranska Straza"* jest dowodem, że nasi południowi pobratymcy piękne swoje morze naprawdę kochają i dbają o to, by doń przywiązać cały naród.

*

Zainteresowanie morzem objawia się i w takiem śródlądowem państwie jak Czechosłowacja. Istniejący tam związek byłych austrjackich marynarzy, „Czechosłowacka jedność byłych marynarzy - rewolucjonistów" wydaje w Pradze zajmujący miesięcznik p. n. *„More Slovanum!"* (Morze dla Słowian!), pod redakcją znanego literata J. Müldnera. Miesięcznik ten propaguje uzyskanie dla wszystkich Słowian dostatecznego przystępu do morza, broni gorąco także polskich interesów na Bałtyku, zajmując wyraźne wobec Niemców stanowisko. W jednym z ostatnich numerów (nr. 7) spotykamy m. i. zajmujący artykuł R. Conića o jugosłowiańskiej flocie handlowej. Z artykułu tego dowiadujemy się, że w r. 1926 posiadali Jugosłowianie 11 towarzystw okrętowych ze statkami o łącznym tonażu 200 tys. ton, od r. 1921 wzrost tonażu o 80 tys. ton. Handlowe i pasażerskie okręty jugosłowiańskie pływają po całej wschodniej połaci M. Śródziemnego. Są to dla nas fakty pouczające — my jeszcze tego nie osiągnęliśmy, mimo że jesteśmy przeszło dwa razy większem państwem, niż Jugosławja.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

John Galsworthy wydał nową powieść p. t. *„The silver spoon"*. Utwór ten o symbolicznym tytule (studjum klasy społecznej, co jada „srebrną łyżką") stanowi ciag dalszy *„magnum opus"* Galsworthy'ego, które ukazało się cztery lata temu: *„The Forsyte Saga"*. Na *„Forsyte Saga"* złożyło się szereg oddzielnie publikowanych powieści: *„Man of property"*, *„In chancery"*, *„To let"* i in. W cyklu tym — podjętym jakby na wzór *„Rougon Macquartów"* Zoli — przedstawia Galsworthy dzieje mieszczańskiej rodziny Forsyte'ów, która zdobywa w ciągu lat pozycję społeczną i znaczny majątek. Koleje wzrostu i upadku rozgałęzionego rodu Forsyte'ów posłużyły Galsworthy'emu do przeprowadzenia analizy psychiki przeciętnego Anglika na przełomie dwu wieków. *„Forsyte Saga"* wskazywała niedwuznacznie, że w Anglji XX-go wieku dokonywa się przewrót na polu dawnych pojęć i obyczajowości. Stare zasady, zakorzeniony instynkt własności (stąd znamienny tytuł *„Man of property"*) chwieją się i kruszą — konkluduje Galsworthy w finale swego cyklu. Stoimy wobec niepewnego jutra, wobec nierozdzierzgnionych trudności natury socjalnej, zaognionego antagonizmu klas. Na pytanie jak wyjść z chaosu dążeń i przemian, z załamania wartości — Galsworthy nie znajduje odpowiedzi. *„The silver spoon"* przekonywa nas, że inwencja autora wyczerpała się na eksploatowaniu „złotej żyły" dziejów forsytowskich. Tu i owdzie odkrywa się pewien schematyzm ujmowania osób i zdarzeń. Styl—który nigdy nie był silną stroną talentu Galsworthy'ego— zdradza niedbałość i pośpiech w tworzeniu. *„The silver spoon"* jest krokiem wstecz, wywołanym — jak się zdaje... — popularnością *„Forsyte Saga"*.

*

Autor *„La Chine est un Pays charmant"* (Editions de France), p. Pierre Daye jest nietylko znakomitym podróżnikiem, ale i bystrym obserwatorem. Dzięki temu w jego książce odkrywamy zupełnie nieznane nam dotąd Chiny. Wykazuje nam ona przedewszystkiem w sposób bardzo żywy, jak sprzecznemi uczuciami kieruje się ten naród. Z jednej bowiem strony jest on bardzo wysubtelniony, z drugiej okrutny, gdyż zabójstwo należy tam właściwie do normalnego sportu. Naród to rewolucjonistów i ultra-nacjonalistów zarazem, tajemniczy i rzeczywiście niezrozmiały dla ludzi Zachodu. Współcześnie rozgrywające się wypadki w Chinach potwierdzają wymownie teorje p. Pierre Daye.

*

Jean Dorsenne również znakomity podróżnik, jest autorem bardzo pięknej książki *„C'était le Soir des Dieux"* (J. Ferenczi Edit.), będącej rodzajem Odyssei polinezyjskiej. Powieść ta, pełna poetyckich legend, zawiera cały szereg epizodów mistycznych ale i okrutnych zarazem. Autor przez lat cztery przebywał w Tahiti. P. Dorsenne wydaje obecnie poważne studjum

o życiu sentymentalnem Pawła Gauguin, na podstawie nieznanych dokumentów, które mu zostały powierzone przez rodzinę wielkiego artysty.

*

W chwili obecnej, gdy rozgrywa się tak zacięta walka pomiędzy kapitałem a pracą, książka p. Henri Sée, profesora uniwersytetu w Rennes, p. t. „*Les origines du capitalisme moderne*“ (Armand Colin) da nam jasny obraz historji ewolucji ekonomicznej i społecznej, która doprowadziła w XIX w. do triumfu kapitalizmu i wielkiego przemysłu. Praca ta napisana jest ze znaną erudycją i znakomitą metodą naukową autora „*La France économique et sociale au XVIII siecle*“.

*

„*La stella Polare nel Mare Artico*“ 1889-1900 r. przez Księcia Ludwika Amedeusza Sabaudzkiego (6 wyd. Medjolan — 520 str. — 208 ilustr. — 26 map — cena 40 lirów) opisuje przebieg słynnej wyprawy do bieguna na małym stateczku parowym, przechowywanym długie lata potem w porcie Fiumicino, gdzie był on przedmiotem pielgrzymek. Dzisiaj ten historyczny statek został obrócony na schronisko dla ubogich sierot po marynarzach.

*

Corrado Zoli, autor „*Nel Fezzan — note e impressioni di viaggio*“, (pag. 323. Milano—Afieri e Lacroix ed. 1926) należał do ekspedycji okupacyjnej Fezzanu. To też książka cała składa się z dziejów i obrazów osobiście przeżytych. Staje przed nami, pustynia skalista Tuaregów, potomków Garamantów, z którymi jeszcze starożytny Rzym wojował. Stają wsie z lepianek, luźne wieńce oaz w zapadliskach pustyni, a jednocześnie i ślady kultury rzymskiej w tych odległych krajach. Barwny jest niezmiernie opis życia pustyni: karawany, zwierzęta, obyczaje.

Najwięcej jednak miejsca poświęca autor odyssei „Kolumny wojsk włoskich na podbój Fezzanu“. A była to kolumna jedyna w swoim rodzaju. Zdobycie Fezzanu zaprojektował i wykonał prawie na swoją rękę pułkownik Antonio Miani. Wobec tego że zbywało mu na poparciu i pomocy, powiedzieć można, iż dokonał on cudu. Okupował w stosunkowo nieznacznym czasie olbrzymią przestrzeń od Syrtyki aż do Fezzanu, by zabezpieczyć drogę na Ghat i umocnić się przeciw Senussitom. Przestrzeń ta szła 800-set kilometrowym promieniem w głąb pustyni. Jest to strefa diun, skał, gdzie tylko w wąwozach jest życie, bo tylko tam trafia się woda.

Niemcy i Anglja krzywem okiem patrzyły na postępy Włoch w Afryce, i tak manewrowały, burząc świat muzułmański, iż podczas wielkiej wojny wszechświatowej Włochy musiały wycofać główny kontygens wojsk z Afryki. Nastąpiły naturalnie zdrady, bunty, podsycane z ukrycia. Trzeba się było cofnąć czasowo ku pobrzeżom, marnując tyle najszlachetniejszych wysiłków, i pozostawiając za sobą ciała poległych bohaterów.

*

Z końcem r. 1926 wyszła w Medjolanie (Ed. „Alpes“ ciekawa książka gen. C. A. Ferrario p. t. „*Italia e Ungheria*“ (Włochy a Węgry). Autor, który zdaje się wyrażać myśli pewnej części opinji włoskiej, deklaruje się jako zwolennik rewizji traktatu w Trianon, który jest tak przez Węgry znienawidzony.

*

„*Vita di Michelagelo*“ napisana przez Ascanio Condivi (Ed. „Il rinasciomento del libro“ — Florencja), podaje niezmiernie ciekawe szczegóły z życia Michała Anioła w epoce budowy Św. Piotra w Rzymie. Walka ze skoalizowanymi pod wodzą Nanni di Bigi w rodzaju sekty zwanej „*Setta Sangallesca*“, przeszkody moralne i materjalne, przytem tęsknota za Florencją i przyjaciółmi, utrudniały wowczas życie genjalnemu twórcy. Poza kolosalną budową św. Piotra i kopuły, pozostawił z tej epoki Michał Anioł model na schody do Bibljoteki Laurenziana, plan dla San Giovanni de'Fiorentini; plan Porta Pia, oraz rysunek Santa Maria degli Angeli w Rzymie. Choć dzieła te nie zostały wówczs wykonane, niemniej znaczenie ich w dziejach sztuki jest olbrzymie. Wpatrując się w dzieła architektoniczne Michała Anioła wyczuwa się w nich rękę i ducha rzeźbiarza. Każda budowla jest w najwyższym stopniu organiczna, wydaje się jestestwem obdarzonem muskułami i szkieletem. Brak natomiast w planach poczucia geometrycznego linji i sześcianu.

*

Książka Emilio Cecchi p. t. „*Pittura italiana dell'Ottocento*“ (Roma, Milano—Società Editrice d'Arte Illustrata — L. 40) wysoko podnosi zasługi malarzy tego okresu w dziedzinie techniki. Znakomity krytyk twierdzi jednak, iż wpływy zagranicy, a zwłaszcza malarzy niemieckich i francuskich (impresjonizmy, secesje, rozczochrana sztuka, weryzm, symbolizm) sprawiły, że zbyt mało zwracało się uwagi na to, co pozostanie w sztuce jej najwyższą wartością — na twórczą fantazję, kompozycję. Książka czyta się łatwo i jest nadzwyczaj pouczająca.

KRZEMIENIEC CZEKA

Otrzymaliśmy następujące uwagi:

W artykule „Kraków czy Krzemieniec“, zamieszczonym w nr. 8 „Myśli Narodowej“ z radością stwierdziłem słuszne ujęcie sprawy co do wyboru Krzemieńca, jako miejsca najodpowiedniejszego na grób Juljusza Słowackiego. Poeta w jednym ze swych drobnych utworów pozostawił wyraźne wskazówki, by go pogrzebano w Krzemieńcu na Tunickim cmentarzu „pod czereśnią“, która w owe czasy na tym cmentarzu rosła. Dziś niedaleko grobu matki poety znajduje się wprawdzie kilkudziesiątletnia czereśnią, lecz wątpić można, czy pamięta czasy Słowackiego. Natomiast grób matki poety ocienia piękny płaczący jesion, zasadzony na początku XX wieku. Na grobie zaś jest skromny nagrobek; na jednej jego stronie są wyryte słowa: „Juljuszowi Słowackiemu. Urodzony w Krzemieńcu....“ — Dawniej przypuszczano, że nadejdzie chwila, kiedy można będzie sprowadzić szczątki wieszcza do Krzemieńca i pogrzebać je obok ukochanej matki, spełniając testament poety. „Niech przyjaciele moi... biedne serce moje... tej, która mi dała to serce, oddadzą“. (Testament mój).

We Lwowie w muzeum im. Ossolińskich znajduje się własnoręczny rysunek poety, jaką pragnąłby mieć mogiłę. Nagrobek taki mógłby stanąć tylko pod gołem niebem (kilka wielkich głazów nieociosanych).

Autor artykułu wspomina o kościele parafjalnym, gdzie „stoi wykuta w marmurze postać, brak tylko trumny w grobowcu“. — Uważam to miejsce za niefortunne. — Kościół ten wzniesiono dopiero w r. 1856 i to na wyraźne życzenie oraz za poparciem pieniężnem... cara Mikołaja I, który wówczas, bawiąc w Krzemieńcu, nie znalazł kościoła katolickiego, bo wszystkie trzy kościoły w Krzemieńcu były przez rząd rosyjski skonfiskowane (—licealny i o. o. Franciszkanów, jako „kara“ za udział w powstaniu listopadowem) i oddane do użytku wyznawcom kościoła wschodniego,—tym, którzy mieli „prawo sławić“ Boga. Zresztą, pomnik poety w tym kościele jest postawiony na wąskim cokule marmurowym,—w miejscu, które ze względu na swe położenie w kościele oraz na swą szczupłość, stanowczo jest nieodpowiednie na grobowiec wieszcza. — Bronzowa zaś rzeźba „Króla-Ducha“ dłuta Szymanowskiego, darowana przez młodzież polską w setną rocznicę urodzin wieszcza, została w r. 1909 potajemnie nocą wmurowana, dlatego właśnie w tym kościele, ponieważ wówczas było to jedyne miejsce w Krzemieńcu, gdzie można było odważyć się na postawienie pomnika, ze względu na przyszłą interwencję zaborców. Rzeczywiście, władze rosyjskie, nazajutrz dowiedziawszy się o postawieniu pomnika, w wielkiem zakłopotaniu były zmuszone zgodzić się z tem, co się stało.—Pomnika nie usunięto.

Wziąwszy to pod uwagę, że grób matki Słowackiego wraz z kilkunastu grobowcami Polaków-katolików tworzy obecnie na cmentarzu Tunickim istną oazę wśród licznych mogił prawosławnego cmentarza (tego Słowacki nie mógł przewidzieć), więc może stokroć lepiej do przyjęcia prochów poety nadawałby się wielki, piękny, lecz opuszczony kościół barokowy licealny, który dziś znowu jest katolickim. — Ma ten stary kościół bardzo obszerne podziemia, które po odpowiedniem urządzeniu mogłyby godnie przyjąć prochy: Słowackiego, Malczewskiego, Korzeniowskiego, Felińskiego, Gosławskiego i innych wielkich Polaków, których imiona są ściśle związane z Liceum i którzy w tym kościele często się modlili. Ostatecznie grobowiec Słowackiego mógłby stanąć w obszernej głównej nawie kościoła. Podziemia te również chętnie przygarnęłyby porozrzucane po świecie prochy tych Polaków, co wiele sił swych poświęcili idei zbratania Polan dnieprowych z wiślanymi. Mam na myśli sławnych pisarzy: B. Zaleskiego, Goszczyńskiego, Grabowskiego, Miłkowskiego i innych. Placówkę kresową, strzeżoną przez Wielkie Duchy, niezmiernieby to umocniło...

Czyż królewski gród Słowackiego nie godzien przyjąć jego prochów? Czy schody Królewskie Liceum doczekają się, by po nich szczątki wieszcza wniesiono do tej świątyni, w której zamłodu gorąco prosił Boga o sławę pośmiertną. Byłoby właściwe, aby czynniki odpowiednie zechciały wywody powyższe rozważyć i zbadać położenie na miejscu.

Poznań P. MALCZYŃSKI

NOWE KSIĄŻKI

Adam Szelągowski. Rok 1789. Monarchja a rewolucja. Warsz. 1927. Bibl. dzieł wyb.

Jan Parandowski. Mitologja. Wierzenia i podania Greków i Rzymian. Wyd. nowe. Lwów 1927. H. Altenberg. Str. 255 (z ilustr.)

Adam Chętnik. Warunki gospodarczo-kulturalne na pograniczu kurpiowsko-mazurskiem. Łomża 1927. Wyd. oddziału Kurpiow. Tow. Krajozn. w Nowogrodzie. Bibl. pogranicza Prus Wschodnich, nr. 3.

Edmund Bursche prof. Program polskiego uniwersalizmu chrześcijańskiego. Warsz. 1927. Str. 48.

Jerzy Eug. Płomieński. Zapomniany krytyk. Tadeusz Dąbrowski jako krytyk literacki. Studjum krytyczno-liter. Lwów 1927. Zakład Nar. im. Ossolińskich. Str. 31.

Kaz. Kalinowski. Pieśń ukojenia (Poezje). Poznań 1927, Fiszer i Majewski.

U Gebethnera i Wolffa wyszły obecnie książki:

Kornel Makuszyński. Ponure igraszki. Str. 285.

Zofja Nałkowska i M. J. Wielopolska. Księga o przyjaciołach.

Eliza Orzeszkowa. Dwa bieguny. Pisma tom XXIV.

Stanisław Przybyszewski. Mściciel. Dramat.

Zygmunt Szweykowski. „Lalka" Bolesława Prusa. Str. 363.

Zdzisław Dębicki. Portrety. Str. 325.

Ruch literacki mies. Warsz. marzec.

Kwartalnik Instytutu nauk. do badań emigracji i kolonizacji (Redaktor Załęcki). Warsz. Rok II, zesz. I.

Sprawy Narodowościowe. Czasopismo poświęcone badaniu Spraw. narodow. Warsz., nr. 1 (stycz. luty 1927).

Przegląd Teologiczny. Lwów 1927, zesz. I.

Ateneum Kapłańskie. Włocławek 1927, marzec.

Przegląd Polityczny. Warsz. w. 3 (marzec-kwiecień)

Przegląd Współczesny. Kraków, kwiecień.

Revue des études slaves. T. VI, zesz. 1 i 2. Paris 1926. Libr. Champion. Str. 164.

La Pologne. Paris, nr. 9 (maj)

Educazione Fascista. Roma, 1927, V.

Errata: W ogłoszeniu o wydawnictwie „Wskazań programowych" Obozu Wielkiej Polski, umieszczonem w poprzednim numerze „Myśli", omyłkowo podano, iż zeszyt piąty stanowić będzie „Armja, państwo i naród" gen. Stanisława Hallera. Jako zeszyt piąty „Wskazań" ukazał się właśnie „Kościół, naród i państwo" Romana Dmowskiego, zaś „Armja, państwo i naród" gen. St. Hallera pojawi się jako zeszyt siódmy.

NA MARGINESIE

Polemizując z „Głosem Codziennym", warszawskim organem N. P. R., na temat zasług rozstrzelanego w r. 1905 członka bojówki socjalistycznej, Mireckiego-Montwiłła, pisze „Robotnik" (Nr. 122 z dn. 5 b. m.):

> „Gdy organ enpeerowski „opiekuje się" Okrzeją i Montwiłłem i usiłuje wmówić w naiwnych, że oni ginęli na szubienicy za Polskę, a nie za socjalistyczną Polskę, to musimy pod adresem panów enpeerowców zawołać: nie szargać pamięci tych, z którymi N.P.R. prowadziła walkę..."

Osobliwy jest pogląd publicysty socjalistycznego, iż twierdzenie, że ktoś oddał życie za Polskę, może być „szarganiem" jego pamięci... Czemu jednak, jeśli Montwiłł ginął nie „za Polskę", lecz „za socjalistyczną Polskę", u pomnika jego z nakazu władz ustawiona była warta honorowa? Czy armja jest armją polską, czy też „socjalistyczno - polską"? Któż tutaj coś „usiłuje wmówić w naiwnych"?

*

Jak się okazuje z ogłoszonej dn. 3 maja listy patrjotów, odznaczonych orderem „*Polonia Restituta*", do odrodzenia Polski w wysokim stopniu przyczynił się p. Aleksander Babiański, który przed wojną tak dalece zespolił się ze społeczeństwem rosyjskiem, że był nawet posłem do Dumy, wybranym przez rosyjską ludność okręgu Ufy i członkiem rosyjskiej partji „kadetów" (partja ta nawet po rewolucji 1917 r. najdłużej opierała się proklamacji niepodległości Polski).

Miłą też, a nieoczekiwaną jest informacja, że przy odrodzeniu Polski tak wybitne zasługi położyli... członkowie rodzin ministrów z epoki „sanacji". Zwłaszcza żony. Wśród odznaczonych widzimy: p. Jana Piłsudskiego oraz panie: Bartlową, Moraczewską i Sujkowską.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI
Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15.
PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM